Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 40 (1828) • 3–9 października 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilust: KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223508 40

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 296a5b9c7c

WOJNA DOMOWA

Główny front walk przetaczał się w tym tygodniu przez Polskę 2050. Najpierw red. Zalewska z TVN24 z dumą ogłosiła przeciek z Rady Ministrów, na której Donald Tusk opierdolił ponoć Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz, która miała przedstawić kompleksowy plan reformy podatku od samochodów spalinowych, ale go nie miała. „To miało być na to posiedzenie rządu przygotowane i aż trudno było uwierzyć, bo ministra w ogóle nie była przygotowana" – ekscytowała się red. Zalewska, dodając, że „ministra miała zrzucić odpowiedzialność na ministrę klimatu Paulinę Hennig-Kloskę i szefa resortu finansów Andrzeja Domańskiego". Po czym Pełczyńska-Nałęcz odparowała w social mediach, że przygotowana przez jej ministerstwo rewizja w KPO obejmowała 125 zmian, z czego 123 zostały opracowane, a dwie nie, bo „pomimo licznych pism i informacji ustnych ode mnie i wiceministra Jana Szyszko do stosownych resortów" – jak rozumiemy, finansów i klimatu – resorty te propozycji stosownych zmian nie zaproponowały. Jak było naprawdę, nikt się nie dowie, bo posiedzenia rządu są przecież tajne – ale jakoś nas nie dziwi, że wyciekła akurat ta plotka. Coś czujemy, że Donaldowi Tuskowi pomysł, żeby wicepremierem miała zostać akurat Pełczyńska-Nałęcz, wyraźnie się nie podoba.

A może być gorzej. Cztery dni później Onet odkrył, że Szymon Hołownia startuje w konkursie na wysokiego komisarza ONZ ds. uchodźców i nie będzie startował na szefa własnej partii w najbliższych partyjnych wyborach. Pewniakiem wydawała się właśnie Pełczyńska-Nałęcz – będąca jedynym poza Hołownią poważnym politykiem Polski 2050. Atoli kolegom zmiękła rura, jak usłyszeli, że Donek się gniewa, i kiedy klub decydował, komu dać rekomendację na wicepremiera, Pełczyńska-Nałęcz dostała tylko 16 głosów. 14 posłów wolało ministrę klimatu Paulinę Hennig-Kloskę, której nikt dotychczas nie traktował poważnie, zwłaszcza po jej wystąpieniu o „nisko oprocentowanych pożyczkach" jako formie wsparcia dla powodzian. Słabość Pełczyńskiej-Nałęcz wyczuły szakale, ze szczególnym uwzględnieniem Ryszarda Petru, który postanowił, że on też chce być przewodniczącym partii (bo ostatnim razem tak świetnie mu poszło). Petru „uznał, że trzeba dać ugrupowaniu szansę na odzyskanie blasku" i ogłosił pięciopunktowy program wyborczy. Szczególnie nas ujął pkt. 3: „Ludzkie sprawy". „Ludzkość" oznacza dla Petru wyłącznie przedsiębiorców, na przykład tych, którzy są w konflikcie z ZUS. Ludzi na etatach, czy – nieistniejący uchowaj – bezrobotnych, plan pana Petru nie przewiduje.

Jarosławowi Kaczyńskiemu całkiem peron odjechał. Głównie we Wrocławiu. Prezes udał się na ziemie odzyskane, które zaczął straszyć „akcją, można powiedzieć, zreniemczania". Tu wyczuł, że językowo coś jest nie tak, i dodał: „regermanizacji – to może lepiej brzmi po polsku". Np. taka Hala Stulecia, oddana 100 lat po bitwie pod Lipskiem, czyli w roku 1913: „Czy myśmy pod Lipskiem wygrali?" – pytał retorycznie. Po czym poszybował już w przestworza, informując lud wierny, że zwycięstwo nie było polskie i cesarz też, „to wszystko było niemieckie, dzisiaj są formalnie naszymi sojusznikami, ale to jest taki sojusznik, który tylko się oblizuje, patrząc na nas". Po pierwsze: Jarosław Kaczyński jednak za wiele czasu spędza z kotem. I po drugie: w tym, co prezes mówi, coś jest. Otóż słyszymy każdego dnia, że Rosji nie wolno wierzyć, i my to zawsze widzieliśmy, bo tego nauczyła nas historia i tylko głupia Europa nie chciała nas słuchać, ale teraz wreszcie posłuchała. A potem słyszmy, że Niemcy za mało wydają na zbrojenia i muszą wziąć odpowiedzialność za bezpieczeństwo Europy. Historia jest, jak widać, nauczycielką wybiórczą.

W odróżnieniu od Jarosława Kaczyńskiego we Wrocławiu, Donald Tusk w Kopenhadze, na szczycie UE, wygłosił monolog o żelaznej logice: „Nasza rzeczywistość – to wszyscy się tutaj chyba zgodzą – to bezpieczeństwo. Bezpieczeństwo oznacza zbrojenia. Zbrojenia oznaczają stal. Stał oznacza reindustrializację"… Forsa to grunt, grunt to ziemia, ziemia to matka, matka to anioł, anioł to stróż, stróż to dozorca…

Komisji śledczej ds. Pegasusa już za dziewiątym podejściem udało się przesłuchać Zbigniewa Ziobrę. Który co prawda zaczął od odwrócenia się do komisji tyłem i poinformowania jej członków, że „są grupą osób, które działają nielegalnie, bezprawnie i do tego wyczerpują cechy przestępcze" – ale potem przez osiem godzin odpowiadał na pytania, co nie było takie głupie. Z pewnym zdziwieniem odnotowaliśmy, że tym razem przewodnicząca Sroka była przygotowana, nie dała się wyprowadzić z równowagi i nawet zadawała dość przebiegłe pytania. Na szczęście dla Ziobry nikt tego nie był w stanie obejrzeć w całości, więc zarówno plemię PiS-u, jak i antypisu obejrzało sobie w ulubionej telewizji – każdy w swojej – tylko te fragmenty, które były po ich myśli.

Warszawski sąd wydał zgodę na tymczasowe aresztowanie Wołodymyra Z., Ukraińca poszukiwanego europejskim nakazem aresztowania wydanym przez Federalny Trybunał Sprawiedliwości w Karlsruhe w związku z wysadzeniem gazociągu Nord Stream. Wołodymyr Z. został aresztowany w Pruszkowie, gdzie spokojnie prowadził działalność budowlaną, bo w końcu już się za Ukrainę nawojował, wysadzając. Adwokat zatrzymanego Tymoteusz Paprocki zaprezentował wstępną linię obrony: „W ogóle mając na uwadze pełnowymiarową wojnę na Ukrainie i fakt, że właścicielem Nord Stream jest spółka rosyjska Gazprom, która finansuje te działania, obrona na dzisiaj nie widzi jakichkolwiek możliwości postawienia zarzutu komukolwiek, kto w tych działaniach uczestniczył"… Liczymy na to, że mecenas Paprocki poprosi na świadka wicepremiera Sikorskiego, który – jak pamiętamy – wraził tę opinię od razu po wysadzeniu, publikując na X zdjęcie z eksplozji z podpisem „Thank you, USA".

Włodzimierz Czarzasty poszedł do Polsatu i opowiedział nam co nieco o sobie. Na przykład, że „bucowatość zgubił 10 lat temu". „Na czym polega zgubienie bucowatości?" – zapytał wyraźnie zaintrygowany red. Rymanowski. „To jest narobienie w pewnym momencie życia tylu głupot i takie nagromadzenie arogancji, że w pewnej chwili przychodzi do pana ktoś, kto jest pana przyjacielem, i mówi: Po prostu jesteś debilem i musisz usiąść w kącie i zastanowić się dziesięć razy nad sobą". Jak rozumiemy, tego przyjaciela już z nami nie ma? Czy może po pierwszym razie przestał być przyjacielem?

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Wrzesień 2013 r.

Świętego Wenicława

Prezydent państwa Polaków i innych jego obywateli przemówił w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ na sesji w Nowym Jorku. Komorowski wygłaszał mowę między prezydentem Kiribati Anote Tongą a królem Suazi Mswatim III, szczęśliwym nowożeńcem przybyłym po ślubie z czternastą żoną. Komorowskiego wysłuchano z równą uwagą. Prezydent RP odbył też krótką rozmowę z prezydentem USA ob. Amą.

– Jestem prezydentem Polski, kraju, który leży w Europie między Niemcami a Ukrainą.

– Heloł, Walensa! – ucieszył się ob. Ama.

Komorowski zaprosił prezydenta Stanów, żeby przyleciał na 25. rocznicę przegrania przeze mnie wyborów na posła do Sejmu 4 czerwca 1989 r. Gospodarz na to ani me, ani be, ani kukuryku.

I jeszcze z tego jestem dumny jako Polak, że Komorowski wygłosił długie przemówienie do pana Zbigniewa Brzezińskiego, doradcy dawno minionego prezydenta USA Cartera.

„Polska ofensywa dyplomatyczna w Nowym Jorku" – zatytułowała te rewelacje „Gazeta Wyborcza".

Świętego Michała

Najciekawszy wywód z zakresu etyki znalazłem w „Gazecie Polskiej Codziennie". Skoro opinia publiczna wybacza wspinaczowi B., który dla ratowania swego życia w Himalajach nie pośpieszył z pomocą kolegom, to… nie należy się czepiać Polaków, którzy w Jedwabnem swego czasu palili Żydów w stodole. Postępki ludzkie zależne są bowiem od okoliczności. Nazwiska autora nie podaję, gdyż może ma żonę i dzieci.

Świętego Jeromego

Jak już donosiła Daniszewska, naszemu pudlowi Azorowi psi ginekolog obciął jaja. Następnie psi dentysta wyrwał mu zęby. Potem Azor jeździł leżeć pod kroplówką, następnie na zdejmowanie szwów. Pudel Azor na wszystkie te tortury radośnie się wyrywa.

Mały i chudy Azor ma do dyspozycji circa 800 mkw. w naszym domu i 10 000 mkw. przydomowego ogródka. Pomimo to sądzi, że żyje w więzieniu i wyrywa się na wolność nawet za cenę tortur. Dzięki niemu zrozumiałem, dlaczego Polacy, mogący jeździć bez wiz po całej Europie, pragną rozszerzenia tej przestrzeni na Stany Zjednoczone. O nie, nie ma wolności bez granic. Azor, do nogi!

Świętej Teresy od Dzieciątka Jezus

W części mojej rodziny wszystko układa się dobrze. Mój ślubny wnuk jest podobno przystojnym i mądrym mężczyzną, z zawodu podobno psychologiem. Podobno pracuje 12 godzin na dobę. Ma podobno ciekawą misję resocjalizacji klawiszy. Podobno dłuższy czas mieszkał w Indonezji. Podobno jeszcze w grudniu będę miał z nim widzenie. Moja ślubna wnuczka jest na Wyspach Kanaryjskich podobno chwilowo. Podobno rzuciła pracę menedżerki PR, gdyż ona była za wysoko płatna. Podobno pragnie niżej płatnej posady. Widzenia z nią mam dwa razy w roku. Gdyby ich zamknęli za coś do więzienia, widzenia miałbym co miesiąc. Niestety trzeba by też wysyłać paczki, bo rodzina jest przecież najważniejsza. Przypuszczam, że cała zbiegnie się na mój pogrzeb. Konwenanse są najważniejsze.

Świętego Leżera

Przeczytałem z wielkim zaciekawieniem książkę Piotra Zychowicza „Obłęd 44". Autor jest zwolennikiem Narodowych Sił Zbrojnych. Uważa polskich polityków próbujących się dogadać z ZSRR za zdrajców lub idiotów, bo Związek Radziecki był głównym wrogiem. Nazywa partyzantkę radziecką i lewicową bandami itp., itd. Pomimo to zgadzam się z autorem w 80 procentach, np. że sprawy polskie prowadziły w Londynie rządy złożone z idiotów. W czasie okupacji walka w Polsce z Niemcami była kosztownym bezsensem. Na przebieg wojny nie miała wpływu, a wzmagała hitlerowskie represje. Moim zdaniem w całej konspiracji sens miało tylko tajne nauczanie. Podzielam pogląd, że akcja „Burza" była głupotą, a wzniecanie powstania w Warszawie – zbrodnią.

Skrajny reakcjonista i realista Zychowicz, malując sytuację Polski w jego pojęciu zmieniającej pod koniec wojny okupanta, przykrawa jednak rzeczywistość do swoich tez. Co mu do nich nie pasuje, tego nie ma.

W czasie niemieckiej okupacji wymordowano w Polsce ponad 5 mln Żydów, w tym 3 mln polskich obywateli. Ten drobiazg w wywodach Zychowicza pozostaje niezauważony. I na żadne oceny nie wpływa. Żydzi pojawiają się tylko jako grupy leśnych „bandytów" współpracujące z „bandami" radzieckimi. Czyż proponowałby im współpracę z NSZ?

Zychowicz płacze, że Związek Radziecki bezpośrednio anektował prawie połowę przedwojennej Polski. A Ukraińcy to dlań tylko rezuni Polaków. Ale już mniejsza o etniczny skład tych ziem. Autor „Obłędu" nigdzie nie wspomina, że Polska (a nie Bierut!) dostała wspaniałą rekompensatę za swe łapciate kresy. Zyskała na tym i przesunęła się na Zachód pod Berlin. Tego Zychowicz w ogóle nie zauważa. Martwiąc się o ludność Polski, wybiórczo traktuje jej zyski i straty. Ważna jest tylko niepodległość. Korzyści chłopskiej większości z PRL to gówno. Wszystkie wywody autora „co by z Polską było, gdyby" są nic niewarte. O geopolitycznym położeniu powojennej Polski zdecydowała Japonia w grudniu 1941 r. Gdyby napadła na ZSRR, a nie USA, wyniki wojny byłyby odmienne.

Dla mnie, patrioty PRL, książka Zychowicza jest egzotyczna jak chińska poezja lub pamiętniki Goebbelsa.

Świętego Gerarda

Prawicowo-katolickim posłom, którzy w Sejmie głosowali za przymusem rodzenia przez kobiety potworków, rozdałbym po jednym takim na wychowanie. Przy czym posłanka Pawłowicz powinna dostać czwórkę: dziewczynkę bez rączek i nóżek, chłopczyka ślepego, ale za to głuchego, dziewczynkę zrośniętą z syjamską siostrzyczką i chłopczyka bez mózgu, który u Pawłowicz poczuje się jak w domu.

Świętego Franciszka Asyżyjskiego

Podczas gdy straż miejska w Konstancinie śpi w swoich samochodach, Daniszewska wraz z jej zgrają włazi do cudzych ogródków kraść jabłka i orzechy z drzew. W razie czego podkreślam, że to ja donoszę…

Zastanawiam się, dlaczego w polityce prawa noga zawsze jest taka brudna. Ścieżkę cnoty zrobiono nam taką wąską, że mieści się na niej tylko lewa noga, a i ta się ześlizguje. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Dr Robert Pietras** powiedział, że edukacja zdrowotna to edukacja śmierci. Zgodnie z zasadą: z prochu powstałeś, w proch się obrócisz.
- Na Śląsku celnicy zatrzymali **pluszaki wypełnione mrówkami**. To jest prawdziwy Gang Pluszaków.
- Kibice Legii zaprosili na trybunę **Janusza Walusia**. Miało to na celu zmotywowanie do gry czarnoskórych piłkarzy klubu.
- **Ministerstwo Edukacji Narodowej** przeznaczy 10 mln zł na poprawę wizerunku nauczyciela. Za tyle to chyba w Photoshopie poprawią.
- **Biskup Szymon Stułkowski** zarzucił koalicji rządzącej uprzykrzanie życia. Jeśli koalicja uprzykrza życie po godzinie 22.00, radzimy wezwać straż miejską.
- Na **Jasnej Górze** modliły się małżeństwa, rodziny i policjanci. Na udaną domówkę zawsze wbijają psy.

MARTA M.

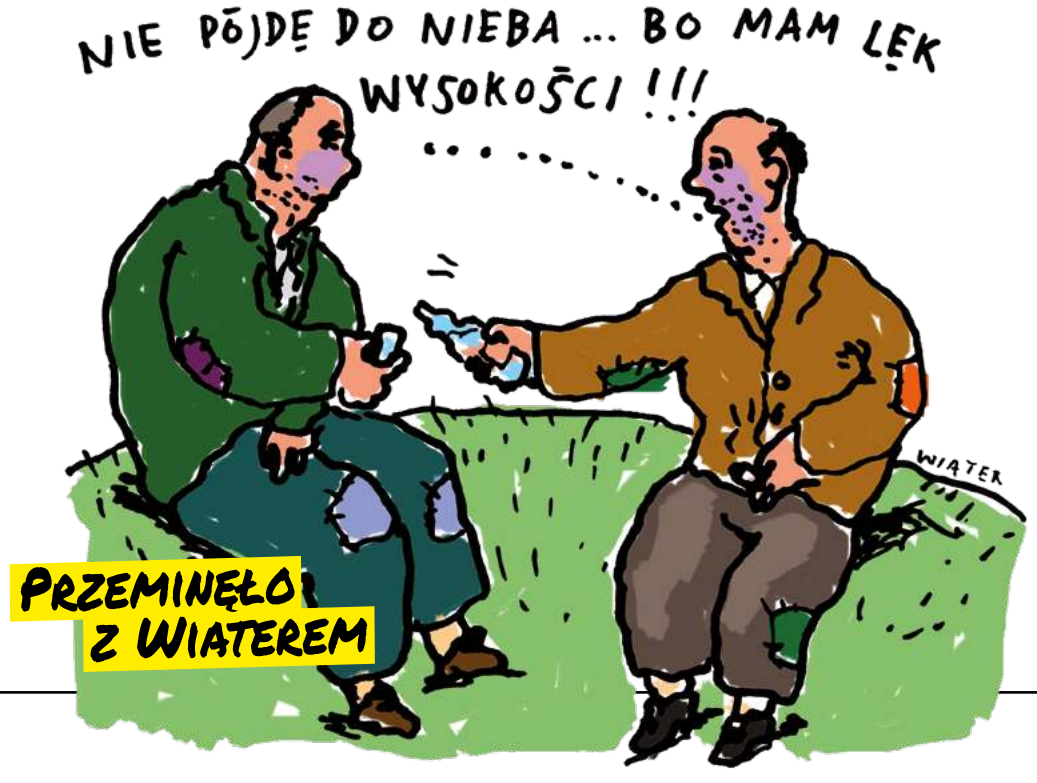

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Nasi okupanci

Katecheta katechecie nierówny. Korporacyjni śpią spokojnie, ale świeckim grunt chwieje się pod nogami. A wszystko z powodu okrojenia liczby lekcji religii do jednej godziny tygodniowo (…). Biadają, że stracą źródło dochodu, a ich rodziny zaczną przymierać głodem. Wspierają ich różnej maści organizacje i towarzystwa, zaś ekscelencje i eminencje, powołując się na przeróżne akty prawne, poczynając od konstytucji i konkordatu, a na orzeczeniach tzw. Trybunału Konstytucyjnego kończąc, żądają dwóch lekcji religii na tydzień oraz wpisywania ocen z religii na świadectwa z możliwością blokowania promocji do wyższej klasy w razie kiepskiej oceny. I sejm traktuje ten bezczelny dyktat poważnie!

Tak się złożyło, że religię do szkół wprowadzano niemal równolegle z wyprowadzaniem z tychże szkół języka rosyjskiego. Zwalnianych nauczycieli tego przedmiotu nikt nie żałował, nikt się nad nimi nie rozczulał, nikt nie współczuł im i ich rodzinom, wszak uczyli „języka okupanta", więc sami sobie są winni. Pamiętam te „jedynie słuszne" komentarze i uwagi świeżo nawróconych czynowników: były tyleż bezduszne, co bezczelne, a do tego prostackie.

Z jakiej więc racji mam teraz litować się nad świeckimi katechetami, skoro z własnej woli stali się narzędziami tych, których Boy już wiek temu nazywał „naszymi okupantami"?

Waldemar Miksa, Gdańsk

eprasa.pl 296a5b9c7c

Nienatrętnie niezadowoleni

Uprzejma demonstracja OPZZ

Fot. MACIEJ WIŚNIOWSKI

10 tysięcy – powiedział niemal bez wahania Piotr Ostrowski, przewodniczący Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych, gdy zapytałem go, ilu się spodziewa uczestników. Marszu Niezadowolonych w Warszawie. Pomylił się pan przewodniczący.

Następnego dnia, w sobotę 27 września, pod budynkiem OPZZ – skąd ruszyć miała manifestacja – związkowcy z całej Polski zajęli niewielki Plac Osterwy. Trochę było ich w uliczce prowadzącej w stronę pomnika Kopernika przed gmachem PAN. I to wszystko. Może 4 tys., może trochę mniej.

Brzmiały przemówienia. Ostrowski mówił, że rząd zapomniał o milionach pracowników.

Pamięć pana premiera

– Pan premier o nas nie pamięta – skarżył się szef OPZZ i coś tam jeszcze mówił o „panu premierze": – Dzięki pracownikom ten kraj się rozwija, ten kraj idzie do przodu, ten kraj może poszczycić się sukcesami. To my, pracownicy, jesteśmy solą tej ziemi. Niestety, pan premier o tym zapomniał…

Po nim przemawiali przewodniczący poszczególnych związków różnych branż. Skarżyli się na niesprawiedliwość, złe traktowanie pracowników i związkowców, łamanie praw pracowniczych, skąpienie w wypłatach, niepodnoszenie płac budżetówce, tak by odczuli to realnie pracownicy, po raz nie wiem już który żalili się na śmieciówki, powszechnie stosowane w polskich zakładach pracy.

Rozszlochałem się już przy trzecim albo czwartym postulacie. Nie ze względu na ich emocjonalną wagę, lecz na powtarzalność, bo słyszę je do lat.

– Mamy europejskie ceny, a nie europejskie pensje – odnotował Ostrowski.

Moją uwagę szczególnie zwrócił Sławomir Broniarz, wieczny przewodniczący Związku Nauczycielstwa Polskiego. Wsławiony przede wszystkim tym, że wszystkie akcje protestacyjne nauczycieli doprowadził do łagodnego upadku, z miernymi rezultatami. I, a jakże, po raz kolejny mówił o niesprawiedliwościach nauczycielskiego trudu.

– Miesiąc temu Związek Nauczycielstwa Polskiego protestował przeciwko stale pogarszającej się sytuacji materialnej nauczycieli i pracowników oświaty wszystkich szczebli od przedszkola po uniwersytety. Mówimy, że kolejne lata, rok 2025, 2026, to jest tylko i wyłącznie waloryzacja inflacyjna…

Aha, protestował. I co? Sytuacja „stale się pogarsza". Czy to może dlatego, że wiatry tak wieją, a może dlatego, że protesty nic nie dają albo nikt ich nie chce słuchać?

Wyzłośliwiam się może niesłusznie, ale doprawdy, mam pewne prawo odczuwać znużenie protestami, które poza bodźcami dźwiękowymi niczym nie zwracają na siebie uwagi tych, których uwagę zwrócić mieli.

Może sejm spalić?

Potem, po tych wszystkich przemówieniach, przerywanych oklaskami i rykiem wuwuzeli, pochód ruszył. Trasa: Świętokrzyska, stamtąd skręt w Mazowiecką, potem kawałek Królewską, przecięcie Placu Piłsudskiego, Trębacka, gdzie Prokuratura Regionalna, Krakowskie Przedmieście i wreszcie Plac Zamkowy. To dobrze dobrana trasa. Cichutka. Poza wspomnianą Prokuraturą Regionalną poprowadzona ulicami, na których nie ma żadnego liczącego się gmachu administracji publicznej. Nikt zatem nie miał prawa – ani chęci oczywiście – usłyszeć ani okrzyków, ani wuwuzeli, ani przeczytać treści banerów i transparentów. Mówiąc krótko, zrobiono może nie wszystko, ale na pewno wiele, by zaanonsowane w tytule manifestacji niezadowolenie pracujących pozostało ich prywatną sprawą.

A nie, przepraszam, jeszcze tych wszystkich przechodniów i turystów, którzy w okolicach Krakowskiego Przedmieścia i Starego Miasta przechadzali się stadami, bo pogoda cudna, zachęcająca do spacerów.

Podczas przemarszu próbowałem nasiąknąć, poczuć to niezadowolenie, z którym tu przyszli ci wszyscy ludzie. Tych dwóch gości ze związku zawodowego hutników z pewnością było niezadowolonych. Zresztą wyrażali je dość dosadnie.

– A coś będzie z tego waszego protestu? Ktoś was zobaczy? Bo tych ludzi na chodnikach gówno obchodzicie.

– A co mam robić? – parska na mnie pytany facet.

– No nie wiem, może jakoś mocniej ten protest wyrazić?

– Co, może sejm mam spalić?

Na to pytanie nie odpowiadam, choć mam ochotę, bo odpowiedź jest, jeśli o mnie chodzi, bardzo prosta i krótka. Jednak w dzisiejszej Polsce tego typu dialogi mogą być nad wyraz szkodliwe dla zdrowia i wolności osobistej. Zatem nie odpowiadam, zostaję w tyle, ale miło było pogawędzić.

Prawda, jest jeszcze akcja „Listy do Rady Ministrów" – inicjatywa „umożliwiająca pracownikom wyrażenie swoich postulatów poprzez pisanie listów, które są zbierane i dostarczane bezpośrednio do Premiera i Ministrów w trakcie Ogólnopolskiego Marszu Niezadowolenia". Mocna rzecz.

Pomału wykruszają się z manifestacji kolejni protestujący. A to autokar czeka, a to ważne sprawy rodzinne, a to znajomych w stolicy czas odwiedzić, może do sklepu skoczyć, no, różne ludzie mają sprawy i nie każdy jest zdecydowany dojść do celu tej wędrówki. I do Placu Zamkowego dociera jakoś tak jedna trzecia tych, którzy rozpoczęli wiec pod siedzibą OPZZ. Nie zajmują nawet całego placu, nie przeszkadzają licznym turystom okupującym krzesełka na tarasach kawiarni i restauracji.

– Polska, rozumiesz? Polska! My, robotnicy! Walczymy! Prze-ci-wko rzą-dowi! – Japońscy turyści słuchają z uwagą rosłego związkowca, tłumaczącego im zawiłości polskiej walki klasowej, i oczywiście nie rozumieją z tego ani słowa, ale, jak to japońscy turyści, uśmiechają się życzliwie do zmordowanego pochodem i spotkaniami towarzyskimi gościa w kamizelce z napisem OPZZ. Wreszcie siada obok nich i coś jeszcze objaśnia, ale oni już piją kawę i fotografują kolumnę Zygmunta, skośne oczy kierując w wizjery aparatów zamiast na walczących o swoje ludzi pracy najemnej.

Trzeba kasy i wkurwu

Wśród ludzi, którzy dotarli pod zamek, jest wreszcie ktoś, kto pokazuje, że zauważył ich protest. To Adrian Zandberg z niewielką grupką młodziutkich aktywistów partii Razem. Dobre i to, choć sprawczości w Zandbergu i jego kolegach mało, przynajmniej teraz.

I znowu przemówienia. Słucham ich z tarasu kawiarni, zaraz obok zmęczonego związkowca i japońskich turystów.

Z trybuny padają wezwania, błagania, prośby. „Panie ministrze!", „Panie premierze!". „Prosimy, panie premierze!", „Ile można czekać!", „Czy ktoś to zauważy?", „Jak tego nie załatwicie do stycznia!", „Górnicy mają dość!", „Bez koksu nie ma stali!", „Bez nas gospodarka stanie!", „Zniszczycie naszą spółkę tak jak PKP Cargo!" i dalej w tym duchu. Bez przerwy i, co ważniejsze, bez skutku. Ci biedni, zmordowani, wykorzystywani bez umiaru i wstydu ludzie zatrzymali się mentalnie w przeszłości. Nie muszę udowadniać, że jestem całym sercem za ich protestem. Ale to nie zmienia faktu, że aparat pojęciowy, który wykorzystują do artykulacji swojej frustracji, jest przestarzały i na nikim nie robi wrażenia.

Nie rozumieją ani pracownicy, ani szefostwo półmilionowego OPZZ, że nie chodzi o to, by rząd, premier, minister czy inny darmozjad zauważył ich problemy. Bo oni nie to, że niedowidzą. Oni po prostu mają pracowników w dupie.

I będą mieli, dopóki ktoś ich nie wetka mordą w gówno, które właśnie tworzą w gospodarce i ludzkim życiu.

Oni uwierzyli, że ładnie ubrany i ładnie mówiący na przedwyborczych spotkaniach pan premier myśli o tym, jak ulżyć, zapewnić bezpieczeństwo socjalne, zdjąć lęk przed jutrem. Tusk doskonale wiedział, że nie dotrzyma obietnic, którymi szafował na wiecach. Cóż mu jednak szkodziło obiecać?

– Mówiłem im to tyle razy – mówi dziennikarz, który w związkowych mediach przepracował ładnych parę lat. – Najpierw trzeba utworzyć fundusz. Sto tysięcy, może więcej. Na dobrych adwokatów, na zapomogi dla rodzin i ludzi zwalnianych z pracy i aresztowanych. Potem trzeba zrobić dym. Taki poważny. Spalić opony, rzucić petardy, wtargnąć do gmachu, wybić szyby. Nie krępować ludzkiego gniewu. Jasne, będzie policja, będzie szarpanina. Wtedy ich dopiero usłyszą i zobaczą, wtedy zaczną rozmawiać.

Ma rację. Już sama nazwa tego protestu jest żałośnie niezdarna. „Marsz Niezadowolenia". Niezadowolonym to można być, jak się w eleganckich bucikach w gówno wdepnie. Na ulice ludzi się wyciąga, gdy są wściekli. Jeśli nie są, to poczekajcie, za chwilę będą.

MACIEJ WIŚNIOWSKI

Tuska plan dziesięcioletni

Czytamy „Strategię Rozwoju Polski do 2035 r."

Ministra funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz opublikowała do konsultacji „Strategię Rozwoju Polski do 2035 r.". Podobno tekst miał ujrzeć światło dzienne jako dokument rządowy dopiero przed następnymi wyborami parlamentarnymi – oczywiście w wiadomym propagandowym celu – ale Tuskowi znów nie udało się dogadać z koalicjantem i pani minister sama postanowiła łyknąć tę wątpliwą chwałę.

To fakt, że poważną i rudymentarną wadą naszej kulawej demokracji jest brak długofalowego planowania. Wydawać by się mogło zatem, że stworzenie 10-letniej strategii Polski to sukces mądrego i odpowiedzialnego rządu, ale niestety widzę w tym więcej propagandy niż planu. I to propagandy skierowanej raczej do własnego elektoratu niż szerokich rzesz obywateli. Ze względu na meteorytykę „Strategii" raczej trudno mi sobie wyobrazić, żeby założenia tego projektu poparła lewica, no i oczywiście nie ma on szans na poparcie ze strony opozycji.

Nie mogę oprzeć się refleksji, że nie musimy obawiać się wprowadzenia jej w życie. Wręcz narzucają mi się tu słowa bajki Jana Brzechwy o indyku i niedzieli. Żeby wcielić ten plan, trzeba wszak najpierw wygrać najbliższe wybory parlamentarne.

„Strategia" została zaprezentowana jako dokument poszukujący „nowej równowagi" między konkurencyjnością gospodarczą, spójnością społeczną i bezpieczeństwem. Jednym z jego głównych założeń jest rozwój „policentryczny", czyli oparty na wspieraniu głównych ośrodków miejskich – a to, moim zdaniem przepis nie tylko na wyborczą klęskę, ale na dalszy postęp dezintegracji gospodarczej i społecznej kraju. Deklaratywny charakter strategii maskuje rzeczywistą hierarchię celów, w której interesy gospodarcze i demograficzne dominują, a prawa człowieka i sprawiedliwość społeczna schodzą na dalszy plan.

Przyjrzyjmy się kolejno głównym założeniom „Strategii".

Demografia zamiast sprawiedliwości

Jednym z najbardziej niepokojących mechanizmów, które ujawnia analiza tego dokumentu, jest „demografizacja". To określenie prof. Ryszarda Szarfenberga oznacza przekształcanie polityk społecznych w narzędzia realizacji celów populacyjnych. Zamiast traktować politykę rodzinną, mieszkaniową czy zdrowotną jako element budowy sprawiedliwszego społeczeństwa, strategia podporządkowuje je wskaźnikowi dzietności (TFR). Jakość życia, redukcja nierówności czy walka z ubóstwem schodzą na dalszy plan, stając się jedynie efektem ubocznym starań o wyższą liczbę urodzeń.

To podejście jest szczególnie niebezpieczne w kontekście migracji. Zamiast polityki integracji migrantów opartej na prawach człowieka, strategia traktuje migrację jako zagrożenie dla „spójności kulturowej" i bezpieczeństwa, kompletnie rezygnując z włączania migrantów w społeczny i gospodarczy rytm kraju.

Gospodarka ponad ludźmi

Mimo deklaracji o „sprawiedliwej gospodarce" strategia w warstwie operacyjnej faworyzuje wskaźniki wzrostu PKB i stawia na rozwój konkurencyjności. Jakość życia obywateli została zepchnięta na ostatnie miejsce w celach gospodarczych, a priorytety społeczne – takie jak walka z ubóstwem, równość szans czy dostęp do usług publicznych – są w dokumencie marginalizowane. Zgoda: inwestycje w infrastrukturę, technologie i obronność są krytycznie ważne – ale żadna strategia nie może stawiać tylko na to. W strategii rządu jedynie 10 proc. działań w planie operacyjnym dotyczy spójności społecznej. Tego nie da się zaakceptować.

Brakuje też „wskaźników rezultatu" – „Strategia" mierzy liczbę wybudowanych mieszkań czy utworzonych placówek, ale nie pyta, czy rzeczywiście poprawiły one sytuację najsłabszych grup społecznych, ani nie proponuje adekwatnych rozwiązań podatkowych – takich jak podatek katastralny czy spadkowy. To podejście utrwala model rozwoju, w którym tylko mierzony przez PKB wzrost gospodarczy jest miarą i narzędziem sukcesu. Tymczasem sukces gospodarczy nie rodzi się wyłącznie ze wskaźników biznesowych, ale także – a nawet przede wszystkim – ze zrównoważonego rozwoju całego społeczeństwa.

Polityka terytorialna: rozwój dla wybranych

Model „policentryczny" – czyli wspieranie tylko 60 głównych ośrodków miejskich – prowadzić będzie do pogłębienia nierówności terytorialnych. Obszary wiejskie i mniejsze miasta, już dziś zmarginalizowane, mogą zostać pozbawione środków na rozwój usług publicznych, transportu czy infrastruktury społecznej. To sprzeczne z ideą sprawiedliwości terytorialnej i prawem do godnego życia niezależnie od miejsca zamieszkania. Taka polityka to nie tylko gwarancja wyborczych klęsk autorów „Strategii" – to także rezygnacja z szansy na przyśpieszenie gospodarczego rozwoju.

Brak mechanizmów ochronnych

„Strategia" nie proponuje żadnych narzędzi zabezpieczających cele społeczne przed dominacją celów gospodarczych i demograficznych. Nie ma „testu spójności społecznej" dla inwestycji publicznych, nie ma niezależnego monitoringu. A zatem

nie ma gwarancji, że środki przeznaczone na cele społeczne nie zostaną – jak zwykle – przesunięte na inne priorytety. To sprawia, że nawet te nieliczne zapisy dotyczące jakości życia pozostaną pustymi deklaracjami.

Wnioski: strategia bez człowieka

„Strategia Rozwoju Polski do 2035 r." to dokument, który – mimo deklaracji o „nowej równowadze" – utrwala neoliberalny paradygmat rozwoju: gospodarka rośnie, demografia jest kontrolowana, a państwo inwestuje w bezpieczeństwo. Spójność społeczna, prawa człowieka i sprawiedliwość są jedynie dodatkiem, a nie fundamentem – puste słowa i czysta propaganda wyborcza.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl 296a5b9c7c

Kali Nawrocki

Apel o pojednanie w duchu IPN

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nareszcie! 6 września ruszyły ekshumacje pomordowanych na Wołyniu i w Galicji wschodniej. Pozwolą zbliżyć do prawdy rzeczywiste rozmiary tej zbrodni, a także przywrócić ofiarom mogiły. Czy posłużą polsko-ukraińskiemu pojednaniu – to pozostaje wątpliwe, sądząc po liście, jaki Karol Nawrocki wystosował do uczestników tego wydarzenia we wsi Puźniki w dawnym województwie tarnopolskim. Treść tego listu pasuje bowiem bardziej dyrektorowi IPN niż głowie polskiego państwa. Jego konkluzje będą dla Ukraińców trudne do przyjęcia.

Kolonia Rzeczpospolitej

Pojednanie, jakie prezydent oferuje Ukrainie, miałoby się opierać na analogicznej zasadzie jak wybaczanie grzechów w obecnej katolickiej spowiedzi. Wyznanie win i szczera skrucha oraz zadośćuczynienie. Ale tej gotowości do wyznania prawdy nasz prezydent oczekuje jednostronnie od Ukraińców, Polaków w tym kontekście nie wspomina. Być może uważa, że we wzajemnych relacjach mamy czyste sumienie. A tak oczywiście nie jest.

Lista polskich win wobec narodu ukraińskiego jest obszerna, zapewne równoważy wołyńskie rzezie, tyle że rozkłada się na stulecia. Ale nawet w historii najnowszej nie byliśmy w porządku. Rzezie ukraińskich wiosek w 1944 i 1945 r. przez polskie podziemie (np. wieś Wierzchowiny, 190 ofiar, czerwiec 1945) można by od biedy potraktować jako odwet za Wołyń. Ale Timothy Snyder, anglosaski historyk, wybitny i Polsce przychylny, w pracy „Rekonstrukcja narodów" podał, że równolegle z rzeziami wołyńskimi w organach polskiego państwa podziemnego toczyła się dyskusja, jak po pomyślnym dla Polski – czyli zgodnym z oczekiwaniami rządu emigracyjnego – zakończeniu wojny rozwiązać kwestię ukraińską. Poparciem cieszył się plan wysiedlenia z Polski na wschód wszystkich Ukraińców. 4 mln ludzi – taka „Akcja Wisła" do potęgi. Czystka etniczna, jaką konwencje ONZ zaliczają do zbrodni przeciw ludzkości. Od tego nieszczęścia uratował nas niechcący Stalin; wojna zakończyła się nie po myśli polskiego podziemia i Londynu.

Ukrainę w objęcia Rosji pchnęła sama Polska. Historycznym błędem ostatniego Jagiellona na polskim tronie, a zarazem wielkiego księcia litewskiego, był podarowanie Koronie Polskiej Rusi Kijowskiej z przyległościami, w tym czasie już zwanej Ukrainą. Gdyby te ziemie pozostały nadal we władaniu słabnącej Litwy, mogłyby wyemancypować w odrębny ośrodek państwowy i stworzyć na południu dawnej Rusi państwową przeciwwagę, czy raczej równowagę z ośrodkiem powstającym na północy wokół Moskwy. Ten proces emancypacji Rusi Kijowskiej po najeździe Mongołów Polska przerwała, zmieniając Ukrainę we własną kolonię przez trzy wieki brutalnie wyzyskiwaną i zniewalaną.

Szlachta litewsko-ruska tych ziem szybko została spolonizowana i skatolicyzowana, a prawosławny chłopski lud obrócony w szlacheckich niewolników. Okrutny ich los naukowo zbadał i opisał kilkadziesiąt lat temu francuski historyk Daniel Beauvois w dziele „Trójkąt ukraiński". Była to opresja w dziejach Europy raczej wyjątkowa: pan był nie tylko właścicielem chłopa, ale sprawował nad nim wszelką władzę, policyjną i sądowniczą też, mógł go niewolić na dowolny sposób, bezkarnie zabić. Reakcją obronną były: zbiegostwo chłopów na Dzikie Pola, powstania kozacze, zbrojne bunty i rzezie szlachty. Zdarzały się takie mniejsze Wołynie. 21 czerwca 1768 r. podczas rebelii chłopsko-kozaczej zwanej kolijewszczyzną w miasteczku Humań powstańcy wyrżnęli kilka tysięcy chroniącej się tam szlachty z rodzinami i sporo miejscowych Żydów.

Wielka wojna wyzwoleńcza Bohdana Chmielnickiego (1648 r.) nie zakończyła się powstaniem federacyjnego państwa trzech narodów – polskiego, litewskiego i ruskiego (ukraińskiego) – lecz wyłonieniem na Ukrainie kozackiego państwa, które w styczniu 1654 r. Chmielnicki oddał „pod opiekę" prawosławnej carskiej Rosji.

Między UPA i NSZ

Prezydent Nawrocki zapowiada w swym liście zorganizowanie – za trzy lata – uroczystych obchodów 370. rocznicy unii hadziackiej (16 września 1658 r.), która już „setki lat temu zapewniała Ukrainie trwałą przynależność do cywilizacji europejskiej". Tak entuzjastycznej oceny tej unii nie podzielają historycy ukraińscy, większość polskich – również. Porozumienie zawarte przez następcę Chmielnickiego Iwana Wyhowskiego z Rzecząpospolitą przewidywało poszerzenie federacyjnego związku Polski i Litwy o nowo utworzone księstwo ruskie, czyli ukraińskie. W zamyśle idea szlachetna, ale nigdy nie weszła w życie. Przed powstaniem Chmielnickiego byłaby odkryciem, ale po tej wojnie okazała się spóźniona o dekadę. Po stronie ukraińskiej wywołała sprzeciw i zbrojny bunt chłopów oraz większości Kozaków, gdyż przewidywała powrót polskiej szlachty do utraconych na Ukrainie majątków. Po stronie polskiej zdecydowanie sabotował tę unię Kościół, który nie zgadzał się na równouprawnienie z prawosławiem i na udział władyków w senacie na równi z biskupami. Wyhowski został obalony, a jego następca Jurij Chmielnicki poniechał wdrażania nowej unii i pozostał w związku z Rosją. W Polsce zaś od niej uwagę odwrócił potop szwedzki. Umarła cichą śmiercią. Dziś oczywiście nikt nie zamierza jej wskrzeszać.

Nawrocki apeluje do Ukraińców, aby porzucili „banderyzm" i wyrzekli się apologii przywódców OUN i UPA odpowiedzialnych za rzezie wołyńskie. Jeśli pragnie się pojednania obu narodów, to z tego postulatu trzeba zrezygnować. Ukraińcy go nie przyjmą.

Nie tylko dlatego, że Putin też go wysuwa. Po prostu dlatego, że innej mocnej tradycji walki narodowowyzwoleńczej w dziejach najnowszych nie mają. A ponadto domagając się od Ukraińców rezygnacji z kultu Bandery, polski prezydent – a do niedawna szef IPN – naraża się na zarzut dwulicowości i moralności Kalego. Od Ukraińców wymaga rezygnacji z apologii UPA, a w Polsce uprawia lub toleruje kult Narodowych Sił Zbrojnych, które kolaborowały z hitleryzmem, dopuszczały się mordów bratobójczych i antysemickich. Także uprawia kult powojennego podziemia zbrojnego, którego ofiarą padło wielu Polaków i co najmniej tysiąc żydowskich ocaleńców z Holocaustu. Dziennik bojowy „Ognia" dobitnie o tym świadczy.

Niewątpliwą przeszkodą na drodze pojednania polsko-ukraińskiego stoi przyjęta przez Polskę po 1989 r. terminologia, traktowanie rzezi wołyńskich jako ludobójstwa. Na Ukrainie nawet ci, którzy rzezie te zdecydowanie potępiają, taką ich kwalifikację odrzucają i traktują jak obelgę wobec swego narodu. Narażę się wielu patriotom, ale w tej kwestii skłonny jestem przyznać rację Ukraińcom. Definicja naukowa i prawna ludobójstwa została wykoncypowana dla opisu szczególnego rodzaju masowych mordów etnicznych, mianowicie dla Holocaustu. Miała podkreślać wyjątkowość tej zbrodni, bez precedensu w dziejach. Zbrodni zamierzonego i w znacznym stopniu zrealizowanego programu eksterminacji w całości wielomilionowej wspólnoty etnicznej i religijnej. Żydzi słusznie obstają przy wyjątkowości Holocaustu. Takie pojmowanie ludobójstwa zaakceptowały konwencje ONZ.

Chorobliwa pamiętliwość

Tymczasem w Polsce po 1989 r., w rywalizacji o martyrologię z Żydami, przyjęło się nazywać ludobójstwem również każdy masowy mord na Polakach: radziecki, niemiecki, ukraiński. Nauka światowa nie przyjęła tej uzurpacji terminologicznej, gdyż przekształca ona naukową definicję zjawiska wyjątkowego w obelgę. Rzezie wołyńskie i galicyjskie były odrażającą krwawą czystką etniczną piętnowaną w konwencjach na równi z ludobójstwem, ale nie ludobójstwem. UPA nie zamierzała wymordować całej kilkumilionowej polskiej populacji na Wołyniu i w Galicji – liczono na to, że wielotysięczne mordy skłonią tę populację do opuszczenia tych ziem. Po części tak się stało: blisko milion Polaków jeszcze w czasie wojny opuściło tę ziemię i przeniosło się do centralnej Polski. W rezultacie po wojnie z ZSRR repatriowało się – zamiast przewidywanych 3 mln – tylko 2 mln Polaków. Podobne nadużycie terminologiczne spotkało pojęcie totalitaryzmu, też wyprane przez antykomunistyczną propagandę z treści poznawczej stało się obelgą, która zrównywała byty nieporównywalne: Rzeszę Hitlera i Polskę pod rządami Edwarda Gierka.

Zamknięciu historycznego rachunku krzywd i pojednaniu narodowemu stoi na przeszkodzie także rozpanoszona wraz z nacjonalizmem chorobliwa pamiętliwość dawnych krzywd, ludzkich i narodowych. W Polsce zwłaszcza.

Od 1989 r. kilkakrotnie i ponad miarę wydłużano okresy przedawnienia. Zrezygnowano też ze starodawnej kategorii abolicji. Nawet prawo łaski prezydenta prawem kaduka zredukowano wyłącznie do przestępstw osądzonych. Wbrew tradycji światowej. Kilkadziesiąt lat temu prasa światowa pokpiwała nad edyktem Geralda Forda, który w zgodzie z konstytucją USA i wieloletnią ich tradycją ułaskawił Richarda Nixona z odpowiedzialności za wszystkie naruszenia prawa, „które popełnił lub mógł popełnić" w czasie pełnienia urzędu prezydenta. Znikło z agendy publicznej starodawne pojęcie „puszczenia w niepamięć" win i krzywd. Zapanowała ponoć sprawiedliwsza zasada: „wybaczenie owszem, ale nie amnezja". Bardzo niechrześcijańska: w najstarszej modlitwie chrześcijan – według ewangelistów podyktowanej przez Jezusa osobiście – „Ojcze nasz" jest mowa o „odpuszczeniu win". W łacińskim tekście *dimitte nobis debita nostra* użyto słowa bardzo wieloznacznego, ale znaczeniowo najbliższego „puszczeniu w niepamięć". Dawniejsze amnestie z reguły oprócz darowania kar orzeczonych też wiele występków puszczały w niepamięć. Służyło to lepiej pokojowi społecznemu. Może warto tę kategorię pojęciową wskrzesić, zwłaszcza w stosunkach międzynarodowych.

M.Z.

PLURALIS MAIESTATIS

Każdemu wolno kochać, nawet Tarczyńskiego.

Żądam wolnej miłości!

A tak – żądam wolnej miłości. W dodatku w ogóle nie dla siebie – za stara jestem już na te klocki, zbyt zmęczona. Ja tylko piesek, kotek, ogródeczek gdzieś w kibucu. I pachnący groszek nad pyskiem, jak tam będę umierać niby Vito Corleone w ogrodzie. Wszakże ufam, że HaSzem nie będzie dla mnie tak okrutny jak dla drogiego Mojszego, któremu na Erec pozwolił popatrzeć – jak ten przechodzi mu koło nosa.

Wolnej miłości dla wszystkich! Żydów, gojów, a nawet europosła Dominika Tarczyńskiego. Oglądałam w sieci przemówienie rzeczonego europosła na londyńskim marszu Unite the Kingdom 13 września i zastanawiałam się, jakich on, tj. Tarczyński, krówek się najadł. Cóż za energia! Cóż za kogucenie! Cóż za efekt WOW! A tu proszę… Nie szukajcie krówek. Szukajcie kobiety!

20 września serwisy internetowe aż się zakrztusiły, kiedy w sieci pojawiły się wspólne zdjęcia modelki Joanny Krupy i europosła Dominika Tarczyńskiego. W dodatku ona, fotomodelka bieliźniana, miała na sobie czerwoną sukienkę. A wiadomo, że czerwień działa na facetów jak płachta na byka, czy – jak chcą badacze od kiepeł – jak się mężczyzna zapatrzy na czerwone, to przestaje myśleć…

„To nasza prywatna relacja i chciałbym, aby tak pozostało. Dziękuję za zrozumienie" – napisał Tarczyński do „Faktu". Śmieję się w kułak, bo zastanawiam się, ilu politycznych kolegów i ilu oponentów Tarczyńskiego szlag najjaśniejszy trafił. Europośle Tarczyński, Polska wzywa! Potrzebujemy odnowienia sceny politycznej! Zatem, europośle Tarczyński, *go, go, Dominic, just go, man! Have a good time! Mazel tov!* I na pohybel marudom!

Bo marud było strasznie dużo. Co jest, kurwa, naprawdę, nie możecie znieść, jak ktoś się dobrze bawi? Ach, nie! Przecież tu chodzi już nie o czystość rasową, tu chodzi o czystość polityczną! Jak ta Krupa mogła?! Bo rzecz jasna tzw. internet ma focha na Krupę. Oczywiście. Tarczyński – wiadomo, facet. Ale Krupa? Jak ona może spotykać się z kimś o odmiennych poglądach politycznych? Hańba! To takie dziwne jest! Jeśli piszą małolaty, to może wypadałoby im przypomnieć, że niegdyś nie brakowało par, które dla bezpieczeństwa lub bezpieczeństwa lęgu obstawiały przeciwne strony sceny politycznej. Sama pamiętam taką parkę, znajomych rodziców – on inżynier zapisany do PZPR, ona dentystka „walcząca" w Solidarności. Dwóch synów się dochowali. A nawet dożyli czasów, kiedy oficjalnie miało być spoko. Miała być wolność – miłości oraz słowa – a do lamusa miały odejść piosenki, w których Urszula śpiewa: „Tu nie musisz już kląć, walczyć, kłamać lub się giąć, oto twój schron! (…) Luz-blues, nasz ostatni azyl, kaloryfer parzy, dziś zaczęli grzać. Może do piekła pójdę i nie dla mnie raj? Choćbym przemycać miała, wezmę ciebie tam!". A Martyna Jakubowicz Urszuli wtórowała: „W domach z betonu nie ma wolnej miłości. Są stosunki małżeńskie oraz akty nierządne, Casanova tu u nas nie gości".

Tymczasem Pudelek 24 września usłużnie podał za anonimową telewizyjną wiewiórą: „Europoseł nieraz uderzał w TVN, dążył do tego, żeby odebrać mu koncesję. Z jego ust padały stwierdzania o tym, że »TVN to tuba Tuska«. Szefostwo zastanawia się, co z tym zrobić. Pewne jest, że Joanna prędzej czy później zostanie przez kogoś przyciśnięta i będzie musiała się wytłumaczyć" – mogliśmy przeczytać.

Źródło serwisu stwierdziło nawet, że szefostwo stacji uważa, że Krupa może spotykać się z Tarczyńskim, ale »nie powinna pokazywać się z nim publicznie«.

Myślę ja sobie o redaktorze Urbanie, który wspominał w wywiadach, jak to co poniektóre aktorzyce żarły i piły u niego (a dalej o towarzystwie, które żarło i piło u Urbanów), ale kiedy dochodziło do przypadkowego spotkania na forum publicznym, to trzeba było strzelać focha i odchodzić, trzęsąc zadem, albo udawać, że się Urbana nie zna. Jak sobie redaktor Urban z tym radził? A chuj tam wie. Przecież go już nie zapytamy. Chciałabym sobie wyobrażać, że z ironią podchodził do tych ludzkich słabości i że go to nie bolało, ale… tak zajebać suce z AK-47!

Hipokryzji to ja już mam po kokardy. Może tak byśmy wrócili do czasów i nazywali rzeczy po imieniu? Tylko kiedy to były te czasy? A radość? Pamiętamy, co to jest radość? Mnie, żebym mogła sobie przypomnieć, nie wystarcza nawet filmik Krupa & Tarczyński, ja to muszę oglądać na YouTubie wielkie żydowskie wesela! Chasydzkie w NY! A tymczasem, jak mi się w końcu kąciki ust podniosą, to oto czytam, że minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski (który zapewne i Urszuli, i Martyny słuchał) z kolesiami wysmażyli nam projekt ustawy, która teoretycznie jest wdrożeniem w życie przepisów unijnego aktu o usługach cyfrowych (DSA), a w praktyce jest cenzurą. W dodatku ustawa nie tylko może nam wsadzić na grzbiety psy, prokuratorów, skarbówkę czy straż graniczną. Mogą nas kąsać i tzw. zaufane podmioty sygnalizujące… A Wielce Bystry Gawkowski na trybunie sejmowej rzecze o ustawie: „Akt prawny, który dzisiaj przyjął rząd, to ochrona użytkowników; to wolność słowa, która jest bezwzględnie ważna, ale która w internecie musi być traktowana w ograniczony sposób". Tak, panie ministrze – co z oczu, to z serca, prawda? Debil! A przepraszam, gdzie tam debil… Przepraszam. Laureat nagrody „Człowiek Roku 2025" z Forum Ekonomicznego w Karpaczu. Nagrody okraszonej laudacją, z której wynika, iż postępowania bądź postępki Gawkowskiego to „dowód na to, że przywództwo opiera się na wiedzy, odpowiedzialności i odwadze podejmowania decyzji". To która dupa się poświęca dla Polski i idzie obciągnąć Gawkowskiemu?

IZABELA SZOLC

eprasa.pl 296a5b9c7c

Hołownia zasługuje na uznanie – ale nie na ONZ.

Pożegnanie z Szymonem

Nie podoba mi się narodowe jebanie Hołowni. A już szczególnie to dobiegające z okolic „Silnych razem" i innych mrocznych melin fanbazy Donalda Tuska. Uważam, że to, za co wyznawcy Platformy Hołowni nienawidzą – gotowość do rozmów z drugą stroną, ostentacyjna niezgoda na obowiązujące dziś na scenie politycznej sekciarstwo – stanowi jego największą zaletę. Co powiedziawszy – nie sądzę, żeby jego aspiracje do stanowiska wysokiego komisarza ONZ ds. uchodźców były trafione.

Szymon Hołownia nie jest mi bliski ideowo, a personalnie wydaje mi się dość irytujący ze swoją niezawoalowaną miłością własną – ale obiektywnie rzecz biorąc, hejt w niego wymierzony przekracza wszelkie granice. I to od dawna. Wystarczy wspomnieć histerię, jaką wzbudził w środowisku „obrońców demokracji" rozsądny wywiad Hołowni w „GW" z początku 2023 r. Szef Polski 2050 zauważył tam, że opozycja od siedmiu lat przegrywa wybory, ponieważ nie przeanalizowała swoich błędów z czasów, kiedy rządziła. I że aby wygrać z PiS, nie wystarczy obietnica powrotu do tego, co było, a co wielu obywatelom zupełnie się nie podobało, toteż zamiast zaganiać wszystkich na wspólną listę z programem „antypis", trzeba konkurować pozytywną wizją Polski. Donald Tusk ogłaszał wówczas, że „antypis to jest najbardziej pozytywny program z możliwych", więc nic więcej nie trzeba.

Efekt zderzenia opinii był przewidywalny. Zaangażowani w odbudowę demokracji Czytelnicy „GW" dali wyraz poszanowaniu dla pluralizmu w komentarzach: pustak z przerośniętym ego, analfabeta, kretyn, pożyteczny idiota pislamu, piąta kolumna Rydzyka, śliski cwaniak, ciekawe, jakie stanowisko obiecał mu Kaczyński… Tomasz Lis, w swojej niezmierzonej błyskotliwości, ukuł bon mot „Kałownia 2023".

Później grzechem śmiertelnym okazało się niefortunne, ale w sumie nieistotne spotkanie z Kaczyńskim u Bielana – co wrogowie z grona politycznych przyjaciół wypominają mu z rozkoszą do dziś. Ostatnio Tomasz Trela wynalazł magiczny związek między tamtym spotkaniem sprzed trzech miesięcy i głosowaniem nad prezydenckim projektem ustawy o CPK: „Nocna kolacja z Jarosławem Kaczyńskim i są efekty! Po prostu żenada"…

Rys. WIDGET

Hołownia odpowiada, że Lewica złożyła nieuzgodniony z resztą koalicji wniosek o odrzucenie projektu prezydenckiego w pierwszym czytaniu, choć poprzedniego wieczoru była zgoda co do tego, że projekt pójdzie do komisji, gdzie zostanie rozebrany na czynniki pierwsze, co pozwoli pokazać wszystkie jego błędy i nielogiczności. Polska 2050 nie wprowadziła dyscypliny, dziewięciu posłów, w tym Hołownia, zagłosowało przeciw, wniosek upadł, projekt trafił do komisji, Donald się wściekł, w ślad za nim koalicyjni harcownicy. Prorządowi komentatorzy powtarzali, że głosowanie nie było stricte proceduralne, bo to kwestia prestiżu koalicji. Jeśli prestiż koalicji jest tak kruchy – to może nie jest to wyłącznie „problem Hołowni"?

Największym grzechem Szymona Hołowni było wszakże wykonanie konstytucyjnego obowiązku przyjęcia przysięgi od Karola Nawrockiego. Platforma oczekiwała od marszałka sejmu, żeby zawiesił posiedzenie Zgromadzenia Narodowego, nie zaprzysiągł Nawrockiego i sam wszedł w buty p.o. prezydenta, co pozwoliłoby mu – jak wyjaśniał prof. Zoll – „podpisać ustawę incydentalną i nawet inne ustawy szanujące nasz wymiar sprawiedliwości". Donald Tusk ogłaszał, iż „przed liderami Koalicji 15X poważna próba" i radził, żeby „jeśli nie wiedzą, jak się zachować, to na wszelki wypadek zachowali się przyzwoicie" – i raczej nikt nie sądził, że premier ma na myśli uszanowanie wyniku demokratycznych wyborów.

Hołownia z właściwym sobie festyniarstwem opisał te naciski słowami: „Wielokrotnie proponowano, czy sugerowano mi, czy byłbym gotowy przeprowadzić zamach stanu"– co było zupełnie zbędne, ale jednak niepozbawione słuszności. Pomysł, żeby kruczkami proceduralnymi uniemożliwić legalnie wybranemu prezydentowi objęcie stanowiska, jako żywo nie miał wiele wspólnego z „obroną demokracji" – a wystarczyło spojrzeć na pierwszą turę, gdzie 60 proc. wyborców głosowało przeciw rządowi, żeby zrozumieć, że Nawrocki te wybory wygrał. Fakt, że Hołownia zachował zdrowy rozsądek i nie dał się skusić choćby chwilowym sprawowaniem stanowiska, o którym wyraźnie marzył, wiedząc przy tym, że narazi go to na kolejną falę hejtu – zasługuje w mojej opinii na szacunek.

„Obrońcy demokracji" są innego zdania. Jak ujął to red. Piasecki: „W klasie politycznej jest przekonanie, że Hołownia już wtedy miał z tyłu głowy, że będzie walczył o jakieś stanowisko i poparcie prezydenta będzie mu potrzebne" – i to jest powód, dla którego zdecydował się nie złamać konstytucji. Niewykluczone, że ta interpretacja więcej mówi o klasie politycznej i jej sposobie myślenia niż o rzeczywistych motywacjach Hołowni.

Na korzyść Hołowni, w moich oczach, działa też fakt, że jest on po prostu sympatyczny. Jego zachowanie na fotelu marszałka sejmu – relatywnie bezstronne, uprzejme, czasami złośliwe, ale nigdy nie obelżywe czy upokarzające dla posłów opozycji – stanowiło pozytywną odmianę, bo atmosfera w polskiej polityce jest naprawdę nie do zniesienia.

I tak po ludzku nawet rozumiem, dlaczego Szymon Hołownia postanowił, że ma dość „całego tego szamba, które przeszedł". Hejt kierowany pod jego adresem – nie przez „drugą stronę", tylko przez politycznych sojuszników i ich wyznawców – jest szczególnie ohydny. Zwłaszcza że spotyka go za trzymanie się swoich zasad czy też – żeby nie romantyzować – swojej koncepcji uprawiania polityki.

To wszystko nie zmienia wszakże faktu, iż pomysł, aby Szymon Hołownia kandydował na wysokiego komisarza ONZ ds. uchodźców jest głupi. I lekko bezczelny.

Nie chodzi o brak wyższego wykształcenia, ani nawet o to, że prowadzenie fundacji pomocowej to nie to samo co jedno z kluczowych stanowisk w największej organizacji międzynarodowej świata. Wykształcenie nie jest wymogiem formalnym, a Hołownia jest na tyle bystry, że nowego stanowiska mógłby się nauczyć. Można się wprawdzie zastanawiać, czy sekretarz generalny ONZ, Antonio Guterres, który bardzo stara się trzymać otwarte linie komunikacyjne ze wszystkimi stronami konfliktów, w tym z Moskwą, wybierze sobie na komisarza faceta, który chciał Putina „wgniatać w ziemię". Ale to nie jest najważniejsze.

Najważniejsze jest to, że

facet, który głosował za nielegalnym w świetle prawa międzynarodowego zawieszeniem azylu – a także za ustawową bezkarnością żołnierzy i funkcjonariuszy, którzy „niezgodnie z zasadami" strzelają do uchodźców – nie ma moralnych kwalifikacji do stanowiska, którego istotą jest ochrona uchodźców.

Po prostu. Szymon Hołownia w wielu sprawach wykazywał niezależność wobec rządu – ale w tej akurat mu niezależności zabrakło.

Szkoda.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Koślawe piruety Platformy

Ochrona Polaków czy sojusz z agresorem?

W Strefie Gazy dzieją się rzeczy straszne, ludzie za to odpowiedzialni będą musieli ponieść konsekwencje – powiedział premier Donald Tusk podczas konferencji w Sierakowicach 22 września i dodał, że popiera Izrael, ale „dla zabijania dzieci, dla morzenia głodem ludności cywilnej nie ma żadnego usprawiedliwienia". Donek podkreślił nawet na tę okoliczność, że motywacją do wyżej wspomnianych zbrodni nie mogą być nawet akty terroryzmu popełniane przez Hamas. Głupio wyszło, bo jego partyjni pupile biją w bęben zgoła odmiennej retoryki.

24 września doszło do kilkunastu ataków na łodzie pokojowej misji Global Sumud Flotilla, płynącej do Strefy Gazy z pomocą humanitarną i zamiarem przełamania nielegalnej blokady izraelskiej. Flotylla znajdowała się na wodach międzynarodowych na wysokości Grecji. Na pokładach zaatakowanych jednostek wciąż (choć już w nieco okrojonym składzie) znajdują się członkowie polskiej delegacji: działaczka Ewa Jasiewicz, krakowski działacz palestyńskiego pochodzenia Omar Faris oraz poseł Koalicji Obywatelskiej Franciszek Sterczewski.

Premier Hiszpanii Pedro Sánchez oraz włoski minister obrony Guido Crosetto ogłosili wysłanie okrętów marynarki wojennej w celu ochrony i ewentualnego wsparcia aktywistów. Minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski w ostrych słowach potępił atak i zagroził Izraelowi konsekwencjami… Żartowałam. Zamiast tego na portalu X

urządził ankietę, w której zapytał, czy państwo polskie powinno pokryć koszty ewakuacji obywatela RP, nawet posła, wielokrotnie ostrzeganego, który udaje się w rejon wojny; czy też może te koszty od obywatela odzyskać.

I jak się pewnie wszyscy domyślają, nie miał na myśli Polaków, którzy regularnie jeżdżą z misjami na objętą wojną Ukrainę.

Wiceszef MSZ Władysław Bartoszewski w rozmowie z Polsat News podkreślił, że w resorcie działa sztab kryzysowy, który zajmuje się tą sprawą, ale też dodał, że jeśli flotylla dostanie się na wody terytorialne Strefy Gazy, ministerstwo będzie miało związane ręce, bo to strefa wojny (sic!).

Dyplomatyczne szpagaty Sikorskiego zaczynają ośmieszać Polskę na arenie międzynarodowej i robią wiatrak z obywateli. Kiedy w trakcie 80. sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku dziesiątki dyplomatów opuściły salę na znak protestu podczas wystąpienia Binjamina Netanjahu, delegacja polska (reprezentowana m.in. przez stałego przedstawiciela RP przy ONZ Andrzeja K. Tarnowskiego) karnie została z dupami na miejscu.

Z jednej strony minister Sikorski beszta w swoich social mediach prezydenta Karola Nawrockiego o potrzebie nazwania zła po imieniu – niezależnie od flagi, jaką nosi to zło na ramieniu, i pieje o surowych konsekwencjach dla każdego, kto łamie prawo międzynarodowe z prawami człowieka na czele; z drugiej zaś mańki pytany o izraelskie zbrodnie wije się jak glizda, nazywając je „nadużyciem siły", i robi publicznie idiotę z partyjnego kolegi, który w przeciwieństwie do ministra nie udaje, że nie widzi izraelskiego słonia w palestyńskim pokoju.

Sterczewskiego za odruch humanitaryzmu postanowiła także spałować partyjna koleżanka Sikorskiego Magdalena Filiks. Posłanka, której aktywność legislacyjna skupia się głównie na wystąpieniach plenarnych i udziale w komisjach (Ziobro interpelacji od początku kadencji – wedle dostępnych rządowych źródeł) oraz debatach w social mediach, pouczyła posła Sterczewskiego, żeby poczytał ustawę o mandacie poselskim. „Tym sposobem każda i każdy z nas 4 lata pływalibyśmy i latali po świecie nie wykonując mandatu. Gdyby każdy dziś robił to co ty, Sejm nie pracował by 4 lata. Ogarnij się i znajdź inny sposób na atencję, bo wiem, że nie znosisz próżni" – napisała na platformie X gwiazda PO.

Rys. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

Wyprawa Global Sumund Flotilla nosi oczywiście znamiona happeningu, ale bynajmniej nie rozrywkowego. Inicjatywy takie jak ta muszą mieć miejsce w momencie, kiedy w wyniku politycznych kalkulacji decyzyjni przywódcy (np. pokroju Sikorskiego) nie chcą nazwać rzeczy po imieniu i zareagować adekwatnie do sytuacji. Stanowisko MSZ rodzi pytania, czyje interesy ono właściwie reprezentuje? Skoro izraelskie drony wysłane ponad tysiąc kilometrów poza terytorium cesarstwa Netanjahu, by atakować pokojową misję, w której udział biorą polscy obywatele, nie są problemem, należy uznać, że ochrona Polaków nie jest dla Sikorskiego wymogiem bezwzględnym. W każdym razie bezsprzecznie stoi kilka oczek niżej niż sojusz z izraelskim agresorem.

Pytanie, czy stanowisko szefa MSZ jest papierkiem lakmusowym dla polityki Donalda Tuska, zakleszczonej między wynikami sondaży dotyczącymi ludobójstwa w Gazie a interesami Polski i Izraela, czy też dorabia premierowi gębę, pozostaje otwarte.

IDALIA DUBICKA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Jak wiadomo, wielu posłów Polski 2050 uznało w głosowaniu sejmowym, że prezydencki projekt ustawy o budowie Centralnego Portu Komunikacyjnego godny jest procedowania w komisji sejmowej. Głosowali tak wbrew premierowi i koalicji rządzącej.

I krzyżyk im na drogę! Do ONZ! W sejmie mogli głosować tak, jak chcieli, ale gdy mleko się rozlało, zamiast stulić uszy po sobie i przyznać się do błędu, zaczęli wyjaśniać tę swoją głupią decyzję. Też głupio.

Marszałek Szymon Hołownia tłumaczył się, że nie wolno lekceważyć projektu obywatelskiego ustawy o budowie CPK, chociaż był to projekt prezydenta. Minister Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz powiedziała, że w przyszłości nie poprze tego projektu, a to, że poparła teraz, się nie liczy.

Ale szczytem hipokryzji i politycznej choroby umysłowej były wyjaśnienia posłanki Barbary Oliwieckiej, magister planowania przestrzennego. W audycji „Śniadanie Rymanowskiego" w Polsat News i Interii Oliwiecka miała nieszczęście powiedzieć, że głosowanie za prezydenckim projektem ustawy o CPK miało rozwiązać „problem komunikacyjny" (lub „problem z komunikacją") w koalicji rządzącej. Można by zaofiarować konia z rzędem każdemu, kto zrozumie, co posłanka Polski 2050 miała na myśli. Może to, że koń jest zwierzęciem komunikacyjnym. A rząd? A rząd jej mordę lizał!

eprasa.pl 296a5b9c7c

Państwo abdykuje

Moje dziecko, moja sprawa?

Miała być rewolucja, a wyszedł kapiszon. Wycofanie się rządu z obowiązkowych lekcji edukacji zdrowotnej to sygnał dla panów biskupów, że jeszcze coś mogą. Bo to na ich żądanie obowiązkowe lekcje stały się nieobowiązkowe, czyli żadne. Po co dzieci mają chodzić, skoro nie muszą? Już połowa zgłosiła absencję. Państwo po raz kolejny okazało słabość.

Tym razem zostawię w spokoju biskupów, a skupię się na tym, co podnosi prawica, a mianowicie na prawie rodziców do wychowywania dzieci po swojemu i sprzeciwie wobec ich „seksualizacji" przez szkołę. Z etycznego punktu widzenia sprawa jest nader interesująca, a jednocześnie obłożona autentycznym tabu. Praktycznie nigdy nie porusza się tego tematu publicznie: jak daleko sięga władza rodzicielska?

Tradycja władzy ojca nad swoim potomstwem jest więcej niż starożytna, a ten jej pradawny rodowód sprzyja anachronizmom we współczesnych systemach prawnych. W wielu krajach rodzicom wolno niemalże wszystko, a zwłaszcza wolno bić swoje dzieci, karać zamknięciem, głodzeniem i na wiele innych poniżających sposobów. Paradoksalnie, nowoczesność i demokracja pogorszyły pozycję dzieci, bo w ramach ogólnego równouprawnienia władzę nad nimi otrzymały obok ojców również matki. Dzisiaj nie jest już tak źle jak jeszcze pół wieku temu, bo większość społeczeństwa nauczyła się prawdziwej troski i szacunku dzieci, a w kolejnych krajach zakazuje się ich bicia. Zmiana jest spektakularna. Bardzo możliwe, że większość mieszkańców Zachodu, którzy mają dziś mniej niż 30 lat, nie była bita przez rodziców. Tymczasem pokolenie wcześniej prawie nie było takich ludzi. Trend jest niemal globalny, więc już dziś możemy powiedzieć, że w tej ważnej kwestii dokonał się autentyczny postęp moralny.

Rys. WIDGET

Zupełnie inaczej ma się jednak sprawa ze sferą idei, wierzeń i stylu życia. Sprawa pozostaje wstydliwa i nie wiadomo, jak ją ugryźć. W rzeczywistości prawa rodziców do dowolnego wychowywania swoich dzieci chronione są niemal tak silnie jak prawa podstawowe, takie jak wolność słowa i wyznania oraz prawo do prywatności.

Głupi rodzice, mający haniebne poglądy i oddający się absurdalnym obyczajom, wierzeniom i rytuałom, mogą dowolnie i bez przeszkód nie tylko wpajać te poglądy swoim dzieciom, nie tylko namawiać je do udziału w swoich sekciarskich praktykach, lecz nawet je do tego zmuszać.

Można więc swobodnie ogłupiać i demoralizować własne dzieci, robiąc z nich małych faszystów albo religijnych fanatyków. Dopóki to zło nie wyraża się w czynach zabronionych, prawo i obyczaj chronią rodziców – w imię ich wolności i prywatności – a nie chronią dzieci. Wystarczy nie namawiać dziecka do łamania prawa, a wtedy prawo jest wobec najgorszego nawet ojca albo matki bezsilne.

Paradoksalnie, podobna ochrona nie przysługuje państwu. Państwo ma swoją jasną i czytelną aksjologię, przyjętą przez naród i wyrażoną w konstytucji. Nakazuje ona państwu działać w duchu równości, poszanowania wolności jednostki oraz praworządności. Tym samym wszędzie tam, gdzie państwo komunikuje się z obywatelami, a w tym również sprawuje pieczę nad nauczaniem najmłodszego ich pokolenia, te właśnie wartości zobowiązane jest propagować. Co więcej, państwo zobowiązane jest do chronienia bezpieczeństwa obywateli, a w szczególny sposób dzieci. Dlatego obowiązkiem władzy jest w taki sposób prowadzić naukę szkolną, aby dzieci były bezpieczne w czasie zajęć lekcyjnych oraz poza nimi. A tu niespodzianka! Nagle okazuje się, że słabość polityków okazuje się słabością państwa, które wycofuje się ze swoich uprawnień i swoich obowiązków. Jeśli się komuś nie podoba, aby jego dziecko było uczone, jak powinno reagować na przemoc – również tę w rodzinie – albo jak uniknąć niechcianej ciąży, to może powiedzieć państwu „wal się!". I tak to jest właśnie u nas. Rodzicom wolno posyłać małe dzieci do przebierańców mających obsesję na punkcie seksu, którzy będą im prawić o „pokalaniu", „cudzołożeniu", „czystości" i „grzechu aborcji", a państwo nie może do tych samych dzieci dotrzeć z przekazem o zagrożeniu pedofilią czy też z elementarną wiedzą o cielesności i prokreacji. To śmieszne i żałosne.

A jednak pytanie o granice władzy rodzicielskiej nadal pozostaje bez odpowiedzi. Czy wystarczyłaby równowaga, polegająca na tym, że rodzicom wolno w domu demoralizować i ogłupiać dzieci, a państwo koryguje to, ucząc w szkole rzeczy światłych i opartych na wiedzy oraz etyce konstytucyjnej? Pewnie byłoby to dobre rozwiązanie, gdyby różnice pomiędzy tym, co dziecko słyszy w domu, a tym, czego uczy je szkoła, nie były zbyt daleko idące. W przeciwnym razie sam dysonans dwóch naturalnych dla dziecka autorytetów, czyli domu i szkoły, byłby dla niego krzywdzący, dezorientując, a nawet popychając w stronę cynizmu i nihilizmu. Poza tym nie dałoby się uniknąć awantur domowych i wzajemnych animozji między nauczycielami a rodzicami. I zapewne właśnie z obawy przed tego rodzaju konfliktami państwo najczęściej abdykuje, sprowadzając wychowanie i nauczanie wartości konstytucyjnych do minimum, a jednocześnie zupełnie nie interesując się krzywdą dzieci, którym od małego wpaja się w domach rasizm, ksenofobię, szowinizm i inne draństwa.

W moim przekonaniu powinno być na odwrót. To szkoła i w ogóle sfera instytucjonalna powinna być stroną aktywną i dominującą. Dziecko powinno być wyposażane w narzędzia samoobrony przed wpływami odrażających ideologii, tak aby wymagane prawem władzy rodzicielskiej posłuszeństwo rodzicom nie oznaczało, że dziecko nie ma nic do gadania. Jeśli na przykład rodzice nakazują dziecku udział w faszystowskim marszu, to powinno ono wiedzieć, jak wyrazić w sposób bezpieczny dla siebie niezadowolenie z tego przymusu. To samo dotyczy fanatyzmu religijnego albo poniżających obyczajów.

Dzieci nie są własnością rodziców ani państwa. Dzieci znajdują się natomiast pod opieką obu tych czynników: i rodziców, i państwa. Oba mają swoje obowiązki i prawa, a gdy wchodzą one ze sobą w kolizję, to przynajmniej w tych sprawach, w których chodzi o wartości podstawowe, gwarantowane konstytucyjnie, górą musi być państwo. Bo dziecko też jest obywatelem i ma obywatelskie prawa. I z pewnością stoją one wyżej niż prawo wykonywania władzy rodzicielskiej. Władza ta jest przecież ograniczona przez nadrzędną zasadę, jaką jest działanie dla dobra dziecka. A dobrem dziecka jest – tak jak rozumie je państwo – wpajanie mu wartości konstytucyjnych oraz uczenie go, jak dbać o własne bezpieczeństwo.

JAN HARTMAN

Wielka Butelkowa Rewolucja Październikowa

GADMAN

Dlaczego naród, który wydał na świat Kopernika, Dmowskiego i Piłsudskiego, nie jest w stanie posegregować swych śmieci?

1 października 2025 r. wybuchła w Polsce wielka rewolucja. Konsumencka – tak pewnie za sto lat pisać będą kronikarze tej rewolucji. Ci pracowici i wnikliwi zacytują pamiętniki żyjących wtedy w Polsce obcokrajowców i Polaków. Większość z nich 1 października i w dniach następnych zapewne nie odnotuje objawów wybuchu rewolucji.

Dzień jak co dzień

Nie zdziwmy się temu. Liczni świadkowie Wielkiej Rewolucji Francuskiej albo rosyjskiej Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej też początkowo nie byli świadomi życia w czasach historycznego przełomu. Nie dostrzegali rangi zwrotu w dziejach ich narodu i państwa. Wielu z nich nigdy tego przełomu w dziejach nie odnotowało, bo zwyczajnie zmarło im się, zanim rewolucja pokazała w pełni swój wymiar.

W życiu moim udało mi się już przeżyć wiele dramatycznych, czasem nawet rewolucyjnych wydarzeń. Wystarczy wymienić jasnogórskie śluby milenijne w 1966 r., zimę stulecia 1978, solidarnościową rewolucję bez rewolucji w 1981 r., stan wojenny z 1981/1982 roku, plan Balcerowicza wprowadzany od 1990 r. czy powódź tysiąclecia z 1997 r.

Pamiętam też wypowiedziane przez Joannę Szczepkowską podczas telewizyjnego wywiadu zdanie: „Chciałabym podać jedną wspaniałą wiadomość. Proszę państwa, 4 czerwca 1989 roku skończył się w Polsce komunizm". Teraz czekam, komu pierwszemu uda się zakomunikować spracowanemu narodowi polskiemu: „Narodzie przez Boga wybrany! 1 października roku pamiętnego 2025 w Polsce znów pojawiły się butelki zwrotne".

Butelka a sprawa polska

Rewolucyjny zwrot w polskich dziejach polega na tym, że od 1 października do wszystkich polskich sklepów, nawet tych z niepolskimi genami, wracają butelki zwrotne. Wracają jak Litwa w czasie grunwaldzkiej wiktorii. Każdy polski patriota pamięta, że sojusznicze wojska litewskie zniknęły tam na chwilę pod wpływem krzyżackiej nawały, ale rychło na plac boju powróciły i wydymały teutońską zarazę od tyłu. Polacy jako przykładni katolicy zawsze swych wrogów brali na klatę od przodu.

Większość swego życia przeżyłem w socjalistycznej gospodarce niedoboru. Tam nie było zjawiska butelki bezzwrotnej. Nie było tego butelkowego sieroctwa, bo nie było butelek niczyich. Lądujących na śmietnikowym wysypisku jak Zbyszek Cybulski w ekranowym „Popiele i diamencie".

Starsi Czytelnicy na pewno pamiętają, że w tamtej Polsce każdą butelkę niczym kruszynę chleba upuszczoną przez wieszcza Słowackiego podnoszono z ziemi przez uszanowanie Matki Ziemi. I matki butelki też. Bo w tamtej Polsce każda butelka, nawet pusta, miała swą dodaną metafizyczną wartość.

„Pusta butelka jest jak trumna bez nieboszczyka" – mawiano w moich studenckich czasach. Dlatego patriotycznym obowiązkiem każdego Polaka było, by ją szybko ponownie treścią napełnić. Zwykle pędem oddać ją do punktu skupu. Wielość oddanych jak krew przodków butelek dawała nam kwotę początkową, która po dalszym cudownym rozmnożeniu lub realnym uzupełnieniu pozwalała na zakup kolejnej butelki już z nową treścią w środku. Dlatego w tamtych czasach każda butelka była wartością samą w sobie.

Zbierali je emeryci starych portfeli, aby żyć godniej, harcerze na zakup sprzętu biwakowego, studenci żywot pędzący w akademikach, by go sobie osłodzić. Bo wtedy każdą odzyskaną jak Ziemie Zachodnie butelkę można było oddać w każdym sklepie w relacji pusta butelka za pełną butelkę. Bez pobierania przez sklep kaucji. Transakcji sprawiedliwej dla obu stron.

Można też było zbiór takich butelek oddać w skupie w relacji jedna butelka za jedną polską złotówkę. Albo zamienić te butelki na równie deficytowy wtedy papier toaletowy. Albo gustowną siatkę ze sznurka idealną na zakupy lub noszenie butelek do skupu. „Nie wszystko można kupić za pieniądze" – mawiano w czasach mojej młodości.

W latach 80. XX w. wartość butelek wzrosła. Kiedy do lokalnego sklepu rzucono piwo, czyli przy-

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Wojsko Polskie pożegna Honkery i UAZ-y, które od lat rdzewiały szybciej, niż jechały. W Siemianowicach Śląskich podpisano umowę na dostawę 1266 Legwanów 4x4 – pojazdów, które mają wozić żołnierzy, zamiast pchać się same na złom. Producentem będzie Rosomak SA, a sam Legwan to polska wersja koreańskiego samochodu Kia. Do 2035 r. armia otrzyma nie tylko auta, ale i pakiety szkoleniowe oraz logistyczne, czyli kompletne instrukcje, jak nie pomylić gazu z hamulcem. Minister Kosiniak-Kamysz podkreślił, że „wybieramy to, co najlepsze". Nie wydaje mi się. Już sama nazwa Legwan brzmi mało patriotycznie: to przecież obrzydliwy gad z rzędu łuskonośnych, i to jeszcze z Karaibów. Jak to będzie wyglądać na nekrologach? „Bohaterski żołnierz poległ w Legwanie". A przecież mamy dość rodzimych zwierząt, które lepiej pasowałyby do polskiego uzbrojenia. Na przykład „Sarna 4x4" albo „Kret" (podkopuje morale przeciwnika), tudzież lekki „Karp Opancerzony" – swojski, pancerny i świątecznie oswojony.

▮ Bez jednego wystrzału niemiecka Bundeswehra przejęła lotnisko w Jasionce pod Rzeszowem. Amerykanie, którzy stacjonowali tam wcześniej, wycofali się równie spokojnie bez huku dział. Oficjalnie Grupa Rakietowa 21 z systemami Patriot zajmuje się obroną przeciwlotniczą. Na jej czele stoi Frau Oberstleutnant Sandra Pillath, jedna z najwyższych rangą kobiet w Bundeswehrze. Misja prowadzona w ramach programu NATO Security Assistance and Training for Ukraine potrwa do końca roku. Tym razem współpraca z polskimi władzami i niemiecką armią przebiega modelowo – w atmosferze wzajemnego szacunku i zrozumienia.

▮ Premier Tusk poinformował o rezygnacji z tzw. podatku Morawieckiego od starych samochodów. Rozwiązanie to, wpisane wcześniej do Krajowego Planu Odbudowy, przewidywało wyższe opłaty za rejestrację używanych aut. Proekologiczny podatek – według ówczesnego premiera Morawieckiego – miał ograniczyć import starszych pojazdów z Zachodu. W 2024 r. sprowadzono do Polski blisko milion aut o średnim wieku ponad 12 lat. Decyzja o skasowaniu podatku wydaje się oczywista i słuszna. Bo cóż to za logika? Czy stary samochód spalający 10 litrów na 100 km jest naprawdę większym zagrożeniem niż nowy SUV, połykający 15 litrów i psujący się już w salonie? Tego premier Morawiecki najwyraźniej nie brał pod uwagę. Choć bądźmy sprawiedliwi: byli w tym kraju jeszcze głupsi premierzy niż pan Mateusz.

▮ Pediatra obrony narodowej Kosiniak-Kamysz wypisał receptę na armię przyszłości. Kwalifikacja wojskowa potrwa od 2 lutego do 30 kwietnia i obejmie aż 235 tys. pacjentów… przepraszam, obywateli na śmierć gotowych pod wodzą Kamysza. Pod wojskowy stetoskop trafią także kobiety z przydatnymi umiejętnościami oraz 50-latkowie, którzy dotychczas udawali, że nie słyszeli o swoim obowiązku wobec ojczyzny.

eprasa.pl 296a5b9c7c

wieziono długo nieobecny tam napój, to nie można go było kupić ot tak: jedynie za posiadane pieniądze. Trzeba było mieć też swoje butelki zwrotne. Warunkujące końcowy sukces zawieranej transakcji. Też w relacji jedna zwrotna butelka – jedno piwo w butelce.

Podobnie było w barze piwnym w spolonizowanym miasteczku Spychowo na Mazurach. W jedynym tam barze serwującym piwo patriotycznej marki Jurand wprost z niedalekiego cudem ocalałego poniemieckiego browaru można było je kupić jedynie w dwóch przypadkach. Na wynos, jeśli posiadałeś kanister, lub na miejscu, jeśli miałeś własny kufel. Pieniądze były jednie formalnym dodatkiem potwierdzającym transakcję. Na szczęście szefująca barem bufetowa była osobą przyjazną piwoszom i dopuszczała zamiennik kufla w postaci słoja po ogórkach. Częściej wtedy dostępnego niż deficytowe jak piwo kufle.

Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Przez dwa lata byłem obserwatorem Parlamentu Europejskiego w Brukseli. Mieście, gdzie serwują ponad 300 marek piwa. Podając go w kilkudziesięciu rodzajach kufli. I choć z niejednego kufla tam nieraz piłem, bo zwykle na koszt belgijskiego podatnika, to w pamięci pozostał mi jedynie smak tego Juranda ze słoika.

Ukoronowaniem zjawiska wyższości butelek zwrotnych była w ostatniej dekadzie Polski Ludowej działalność gospodarcza raczkującego wtedy polskiego drobnego przedsiębiorcy, pioniera nowej polskiej klasy średniej, który kupował w sklepach przeceniony przecier szczawiowy w butelkach i wylewał go do kanalizacji miejskiej. Sens ekonomiczny tkwi nie w szczawiu, tylko w butelkach. Bo produkt szczaw w butelce kosztował 26 groszy, a oddana w skupie butelka dawała jedną złotówkę.

Zrobieni w butelki

Pijąc Juranda ze słoika, nieraz dumałem o przyszłości. Nie spodziewałem się wtedy, że dożyję czasów rozpasanej konsumpcji. Kilkunastu marek piwa w ciągłej sprzedaży w osiedlowym sklepiku bez konieczności butelek zwrotnych, rzygających wszelkimi towarami centrów handlowych i przepełnionych śmietników. A potem dzikich plaż usłanych foliowymi jednorazówkami i polskich kniei zawalonych zużytymi oponami.

Z gospodarki niedoboru wpadliśmy w rozrastający się śmietnik odpadów. W gospodarkę dóbr jednorazowych. Nienaprawialnych. Bezzwrotnych. W dyktaturę mody nakazującej nam wymieniać nadal sprawne, dobre ubrania, sprzęt AGD, RTV na nowe. W pułapki wypasionych opakowań zachęcających do zakupów produktów codziennego użytku.

Czy zastanawialiście się czemu kupujecie tubkę pasty do zębów albo kawałek sera w dodatkowym kartonowym opakowaniu? Upiększającym i zwiększającym wagę i wymiar oferowanego produktu. Opakowaniu, które wyrzucamy od razu. Czy zastanawialiście się kto płaci za ten niepotrzebny chwilowy luksus? Nie tylko w formie ceny produktu. Każda taka niepotrzebna działalność produkcyjna to grabież naszego środowiska naturalnego. Do tego dochodzą koszty częściowej utylizacji, przerobu niepotrzebnych produktów.

1 października 2025 r. Polacy wracają do normalności. Do butelek zwrotnych. Trudno im będzie, pewnie dlatego od razu przyjęto trzymiesięczny okres przejściowy. Oby nie utrwalił się on na stałe.

Codziennie wyrzucam śmiecie do wspólnotowego śmietnika. Przy okazji obserwuję trendy w wyrzucanych odpadach. Ostatnio rosną mi w oczach wyrzucane kartony po internetowych zakupach, maleje kategoria śmieci zmieszanych. Ale nadal, pomimo kilku lat obowiązkowego segregowania, nie wszyscy sąsiedzi opanowali jeszcze sztukę wyrzucania śmieci. Podziału ich na grupy i przede wszystkim trafiania do odpowiednich, różnorodnych kolorowo pojemników.

Dlaczego naród, który szczyci się galerią wybitnych rodaków, nie jest w stanie posegregować swych śmieci? A przecież ten naród chce szybko zbudować mega lotnisko, mega elektrownię atomową i własną atomową bombę. A w narodowym śmietniku dalej wali zmieszane do papieru.

PIOTR GADZINOWSKI

Bajki dla myślących

Kołtun i masturbacja

Z szacunku dla tradycji

Miłościwie nam panujący prezydent Karol Nawrocki zdecydował się wypisać syna z lekcji edukacji zdrowotnej, której elementem (co istotne!) jest seksualność człowieka. W swoim oświadczeniu uzasadnił tę decyzję, stwierdzając, że szkoła to „przestrzeń budowania szacunku do kultury, tradycji i wartości chrześcijańskich, z których wyrasta nasza cywilizacja". Wyraźnie zdaniem prezydenta edukacja zdrowotna ani seksualna do polskiej tradycji i kultury nie należą. Całkowicie zgadzam się z taką konkluzją – fakt: nie należą.

Podzielam także pogląd prezydenta, że szkoła powinna być „przestrzenią budowania szacunku do kultury i tradycji". Owszem – to też, ale chyba jednak znacznie szerzej i dalej należy szukać źródeł naszej kultury i tradycji. Początków tego, czym współcześnie jest tradycja, powinniśmy szukać już u zarania ludzkości.

Felietony i bajki to sprytny sposób felietonisty na mały odlocik, czyli pisanie bzdur. Nie znaczy to, że zawsze zacierają one rzeczywistość. Czasem wręcz przeciwnie. Oceńcie sami.

Powiem tak: poza piciem z zagrychą, gwałtem i rabunkiem nie ma wielu trwalszych i bardziej pielęgnowanych w codziennej praktyce człowieka tradycji jak masturbacja. W przeciwieństwie do powyższych przejawów kultury masturbacja nie niesie wielu zagrożeń ani dla onanisty czy onanistki, ani dla ich współbraci i współsióstr. Na pewno mniej niż zagrożenia zdrowotne i społeczne związane z praktyką korzystania z wyuzdanych hotelowych usług, w pewnym sensie konkurującą z onanizmem. Bo czyż wyrosła na jej tle skromna, cicha celebracja tej szeroko praktykowanej tradycji nie niesie ze sobą nierzadko więcej odświętnej, szczerej radości niż wizyta w teatrze, kościele albo w agencji towarzyskiej. Jest przecież także bez wątpienia znacznie bardziej sprzyjająca dla sakiewki czy portfela i zdecydowanie nie musi być tak ostentacyjna jak wystrojona choinka. Czyż zatem ta tradycja nie jest po prostu skromna i piękna?! Z tych oraz wielu innych powodów masturbacja należy do najpowszechniej kultywowanych tradycji na całym świecie i w całej historii ludzkości.

Współczesne nauki społeczne w licznych badaniach udowodniły powszechność tej tradycji. W badaniu z 2007 r. na reprezentatywnej grupie Brytyjczyków w wieku 16–44 lat do masturbacji przyznało się 95 proc. mężczyzn. Niewiele mniej, bo ok. 70 proc. kobiet przyznaje, że stosuje zabiegi autoerotyczne. Pewnie nie zdziwi nikogo, że w ankietowych badaniach Polek i Polaków te wyniki nie są tak imponujące. Nasi obywatele są co prawda – jak sądzę – równie tradycyjni w tym względzie jak Brytyjczycy, ale (hm!) znacznie mniej się z tym obnoszą.

Badania wskazały też na wiele korzyści z masturbacji. Pomaga ona rozładować napięcie seksualne, stres i niepokój, co jest ważne zarówno w przypadku braku partnera, jak i w związku partnerskim. Uwalnia bowiem endorfiny, poprawiając jakość snu i redukując stres, a to – jeśli nie zastępuje, a jedynie uzupełnia stosunek płciowy – pozytywnie wpływa na stan i trwałość związku partnerskiego i rodziny wbrew opiniom konserwatystów.

Rys. JANUARY

No bo dla przykładu: stosunek płciowy – równie stara, ale nieco mniej powszechna tradycja – wiąże się nierzadko z koniecznością nie zawsze skutecznych i często uciążliwych starań i zabiegów oraz z możliwością licznych komplikacji oraz nieporozumień ze „zdradą" na czele – co rozwaliło już miliony rodzin i spowodowało „sieroctwo" wielu dzieci. Masturbacja raczej skutecznie omija te niebezpieczeństwa, choć nie twierdzę, że może ze stosunkiem płciowym konkurować jakością.

Jest wielu tych, którzy pragną chronić chrześcijańskie tradycje naszego społeczeństwa. Pragnę ich w tym miejscu przestrzec.

Tradycja chrześcijańska w porównaniu z powszechną i ponadczasową tradycją masturbacji jest dość ograniczona zarówno w czasie, jak i w przestrzeni.

Skutek hołdowania stosunkowo świeżym tradycjom może być opłakany. Bezpieczniej oprzeć się na naturalnych, znacznie bardziej utrwalonych w ludzkiej kulturze wzorcach.

Można przytoczyć wiele tradycji w kulturze człowieka, które nie wytrzymały próby czasu. Wśród nich jest i tradycja hodowania kołtuna. Kołtun (spilśnione włosy) to z łaciny *plica polonica*", czyli „kołtun polski" albo *plica neuropathica*. W języku angielskim: *polish plait*. „Zwany bywał także lokalnie gwoździcem, goździcem lub pliką. Sklejony był wydzieliną łojową i wysiękową (np. z powodu wszawicy)". Kołtun to po prostu pęk włosów na głowie „powstały na skutek braku higieny lub niekorzystania ze szczotki bądź grzebienia". Powodem hodowania kołtuna był z jednej strony zabobonny lęk przed ścinaniem włosów, z drugiej – wiara w jego tajemne moce. Wyobraźcie sobie, jaki to był smród.

Tradycję zapuszczania kołtuna pohamowała siła wiedzy oraz litość światlejszych ludzi nad losem chorującego społeczeństwa. Dziś można jeszcze w Muzeum Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego zobaczyć smutny i przerażający artefakt tej minionej (czy całkiem minionej?) tradycji. Jest nim mierzący półtora metra kołtun. Czeka tam na tych, którzy płytko zanurzają łapy w dziejach ludzkiej kultury i gotowi są czcić tradycje wybrane intencjonalnie z kart historii nie dla prawdy, a dla wsparcia głoszonej przez siebie ideologii.

ANNA GRODZKA

■ 22 września Andrzej Bargiel zjechał na nartach z Mount Everestu (8849 m n.p.m.), realizując plan, który dojrzewał w jego głowie od 13 lat. Przechodzi do historii jako pierwszy człowiek, który dokonał takiego zjazdu bez dodatkowego tlenu, czyli na jednym wdechu i dwóch wydechach. Warunki nie rozpieszczały: śniegu było tyle, że nawet na Evereście można powiedzieć: za dużo – biadoli narciarz. Ale prawdziwym bohaterem tej wyprawy nie jest ten, kto błyszczy w obiektywach, tylko ten, kto nosił toboły. W tym przypadku był to Dawa Sherpa „Speed", który wtargał cały ekwipunek na dach świata, a potem go zniósł. Bargiel zjechał, Sherpa przeszedł. Kto tu naprawdę ma kondycję?

■ W Żukowie, w gminie Solec Zdrój, stanęła pierwsza na świecie kapliczka Latającego Potwora Spaghetti. Na piedestale sam Potwór Bóg przedstawiony jako porcja makaronowej pulpy. Coś pomiędzy obiadem a objawieniem. Uroczyste otwarcie, zwane w pastafariańskim żargonie farfaleniem, odbyło się w sobotę. Organizatorzy podkreślają, że budowla powstała zgodnie z prawem i nie ma na celu obrażania innych religii. Część mieszkańców i samorządowców kręci nosem, ale proboszcz z Solca Zdroju zachował spokój. Skoro ludzie potrafią modlić się do obrazów i figur, to makaron też się zmieści w katalogu – mógł pomyśleć. Pastafarianie działają w Polsce od lat, organizując akcje charytatywne i promując ideę wolności kluskopoglądowej pod warunkiem, że makaron jest al dente.

Rys. PAWEŁ FERENC

■ W sklepie rowerowym Velo7 przy ul. Literackiej w Poznaniu ukradziono rower za 80 tys. zł. Złodziei było dwóch. Pierwszy odwrócił uwagę sprzedawcy, drugi wyniósł rower. Całość nagrały kamery monitoringu. Właściciele sklepu apelują o pomoc w identyfikacji sprawców i odzyskaniu jednośladu. No tak, rowery są już po 80 tys. zł, więc pewnie niedługo ziemniaki będą po stówce za kilo. I niech mi ktoś powie, że to nie wina Tuska.

■ Funkcjonariusze śląskiej Krajowej Administracji Skarbowej udaremnili przemyt 106 fiolek z żywymi mrówkami ukrytych w zabawkach w przesyłkach z Meksyku i Wietnamu. Wartość owadów oszacowano na ponad 26 tys. zł. Prosty rachunek pokazuje: około 250 zł za mrówkę. Badania potwierdziły obecność 17 gatunków, które nie są objęte ochroną międzynarodową, ale ich przewóz trzeba zgłaszać. Owady trafiły na Uniwersytet Śląski zamiast do polskich kolekcjonerów. Bo tak, istnieje u nas rynek hobbystyczny miłośników mrówek. Tzw. myrmekolodzy amatorzy kupują kolonie egzotycznych owadów, jak inni kupują rybki akwariowe. Moda na mrówki kwitnie, choć dla porządku dodajmy, że fani prusaków i miłośnicy komarów wciąż działają w głębokim podziemiu.

■ Również z zachodu naruszono polską przestrzeń powietrzną przez balony wypełnione helem należące do Bundeswehry. Balony zrzucały papierowe ulotki z komunikatem: „Probna ulotka Bundeswehy ktora zostala rozprowadzona przez balon bez zalogi napelniony gazem Helium. Za jej pomoca cwiczy Bundeswehr zastac mieszkancow w cieszko dostepnych terenach. Jesli zostanie ta ulka znaleziono prosimy o informacje w ktorym miejscu pod nadole podany adres. Prosimy takze o informacje jaki symbol jest na ulotce zeby nam ulatwic analize naszej pracy. Z uwagi na ochrone srodowiska prosimy o wrzucenie ulotki do najblizszego kosza. Dziekujemy za wspolprace! Bundeswehr Zentrum Operative Kommunikation der Bundeswehr Kürrenberger Steig 34 56727 Mayen". *Jaa, klaaar... wir haben das total verstanden*.

■ Do kolejnego naruszenia polskiego nieba doszło pod Białymstokiem w Kleosinie. Tym razem to nie były niewinne styropianowe drony, co podgryzają kaczany kukurydzy. Znad Białorusi nadciągnęły balony meteorologiczne, które zrzuciły na Polskę ładunek chorobotwórczy i kancerogenny, a przede wszystkim pozbawiony polskiej akcyzy. Wylądowały nie tylko papierosy celowane w płuca obywateli, ale i pociski w polski system monetarny. Wartość kontrabandy szacuje się na około 2,2 mln zł. Sprawców dywersji zatrzymano.

■ W Szkole Podstawowej nr 3 w Braniewie podczas lekcji eksplodował telefon znajdujący się w plecaku jednego z uczniów. Nauczycielka natychmiast ewakuowała klasę, a na miejsce wezwano straż pożarną. Nikomu nic się nie stało. Uszkodzony został jedynie plecak. Strażacy ustalili, że przyczyną zdarzenia była eksplozja baterii litowo-jonowej. Do tej pory telefony tylko nas podsłuchiwały, teraz będą zabijać. Rozpoczną od dzieci.

■ Grupa Trend, polska firma z branży szklarskiej i dekoracyjnej, przejęła niemiecką Gala Group, giganta od świec i zniczy na zachód od Odry. Spółka zatrudnia prawie 4 tys. osób i dostarcza produkty, które świecą na większości niemieckich cmentarzy. No cóż, czasy się zmieniają. Polski znicz stanie teraz na grobie żołnierza Bundeswehry, który „bohatersko poległ w obronie Białegostoku, aby Ruski nie zajął Warszawy". Surrealizm przestał być kierunkiem w sztuce – stał się rzeczywistością.

■ W Aleksandrowie (gm. Nasielsk, pow. nowodworski) 25-letni motocyklista na Hondzie zderzył się z krową. Do konającej krowy wezwano śmigłowiec LPR. Niestety, pomoc przyleciała za późno. Żeby helikopter nie latał na darmo, zabrano więc motocyklistę do szpitala, by w powietrzu odreagował stres. Na miejscu policja i prokuratura badają sprawę. Największa zagadka pozostaje nierozwiązana: jak to możliwe, że w XXI w. na polskiej wiejskiej drodze wciąż można natknąć się na krowę?

■ 15 maja w Nowym Targu doszło do niczym niesprowokowanego ataku ulicznej latarni na 70-letnią mieszkankę. Pani Krystyna doznała urazów głowy, pleców i zębów, wymagała hospitalizacji, a leczenie finansuje sama. Zaatakowana zwróciła się do burmistrza (ojca i matki latarni) o odszkodowanie. W odpowiedzi otrzymała bukiet kwiatów i cukierki. Propozycja ugody nie została przyjęta. Policja prowadzi śledztwo w sprawie narażenia na utratę życia lub ciężki uszczerbek na zdrowiu. Latarnia, jako główny podejrzany, może usłyszeć zarzut zagrożony karą do trzech lat więzienia. Burmistrz Grzegorz Watycha przyznaje, że sprawa „ciągnie się zbyt długo".

RJ

PS Powyższe wieści, wyjęte z prasy regionalnej, mogą mieć związek z rzeczywistością albo i nie. W końcu kto dziś rozróżnia prawdę od fikcji? Kłamstwo stało się tak powszechne, że przestało razić. Zwykła codzienność. A lista tych, którzy je serwują, jest dłuższa niż stara książka telefoniczna z lat 90. Dlatego nie ma sensu przejmować się drobnymi nieścisłościami: ważne, że brzmią wiarygodnie. W każdym razie odpowiedzialności za to nie bierzemy.

eprasa.pl 296a5b9c7c

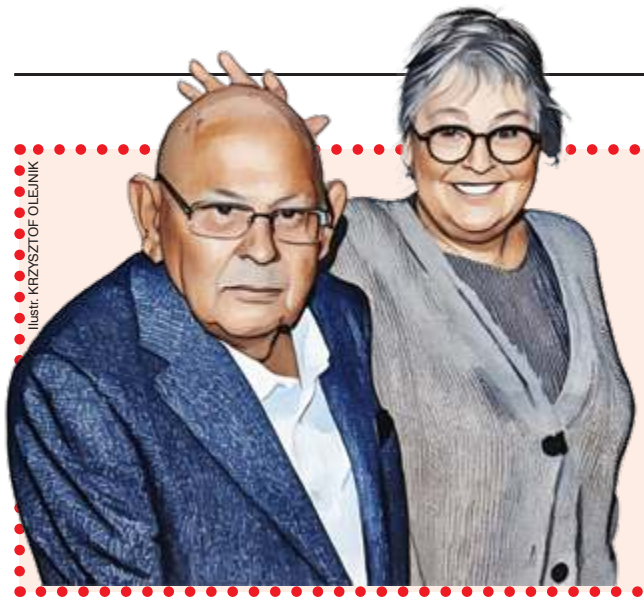

NUMEREK ROCZNICOWY

3 października to w kalendarzu „NIE” dzień przeklęty. 3 października trzy lata temu umarł Urban, a równo rok później w jego ślady podążyła Daniszewska, czyniąc z nas podwójne sieroty.

Ale po trzecim zawsze przychodzi czwarty – czyli nasze urodziny. 4 października 1990 r. ukazał się pierwszy numer Dziennika Cotygodniowego „NIE”.

Kiedy 25 lat temu przyszłam do „NIE”, tygodnik obchodził właśnie 10. urodziny. Był to czas potęgi prasy papierowej – w tym naszej, impreza była na paręset osób, a Urban wydał okolicznościowy numer, w którym opowiedział historię naszych narodzin.

Kiedy otóż przyszło nowe i Łysy zyskał pewność, że szefowie redakcji „wolą mieć raka niż Urbana na łamach”, postanowili z Daniszewską założyć knajpę. „Ona miała prowadzić kuchnię, gdzie naturalne miejsce takiej intelektualistki, ja stać za barem, bo za nim i tak zmarnowałem większą część życia, płacąc, zamiast zarabiać”. Knajpa byłaby cudna: „Kelnerki w seksownych łachmanach, wóda w nadtłuczonych musztardówkach, pieśni masowe z głośników, sławny rzecznik rządu nalewający tę wódę”… Była już nawet nazwa: „Mordownia, na pamiątkę Katynia”. Potem jednak – pisał Urban – „wtrącił się los” w osobie szefa wydawnictwa BGW Romana Górskiego, który zamówił u Łysego „Alfabet Urbana” i zapłacił mu za to 100 tys. dolków, z których wylęgła się zygota tygodnika „NIE”. Od tego czasu wydaliśmy 1828 numerów i nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa.

Wspomnijcie z nami te 35 lat, wznosząc wspólny toast za wyskrobaną „Mordownię”.

AWŁ

Droga krzyżowa

Urban udowodnił, że z głupotą religijną można wygrać nawet za PiS.

Kiedy w sierpniu 2012 r. na okładce tygodnika „NIE” ukazał się rysunek przedstawiający zdziwionego Chrystusa wpisanego w znak zakazu, Jerzy Urban nie przypuszczał, że oto rozpoczyna się jego sądowa przygoda, która miała potrwać dłużej niż bycie rzecznikiem rządu.

Ta zniewaga...

Obrazek był ilustracją do artykułu Wołk-Łaniewskiej (żeby ją pokręciło), zatytułowanego „Bóg umiera ze starości”, opisującego spadek liczby wierzących na całym świecie. Rysunek pokazywał Jezusa zdumionego tym, że jego instytucja traci wyznawców. Sześć osób poczuło się ilustracją dotkniętych religijnie. Nie odkryły jednak obrazka w domowym zaciszu przy lekturze ulubionego tygodnika. Podobno natknęły się na ilustrację, przechodząc obok stoiska z gazetami. Ich reakcje były zaskakująco jednorodne. Na tyle, że powstało podejrzenie, iż niekoniecznie chodziło o intymne przeżycie religijne, bardziej o zorganizowaną akcję polityczną.

Na rozprawach ustalono, że zawiadomienia o obrazie uczuć religijnych miały niemal identyczne brzmienie. Wszyscy skarżący posługiwali się tym samym tekstem, który otrzymali drogą internetową. Gotowiec wystarczyło wydrukować, wpisać swoje dane i podpisać. Pytani w sądzie, od kogo dostali formularz, odpowiadali wymijająco: „od osoby godnej zaufania”. Nie pamiętali nazwiska, maila, nawet okoliczności. Dokument przyszedł – podpisali – wysłali.

Na podstawie tej „spontanicznej fali oburzenia” prokuratura oskarżyła redaktora naczelnego „NIE” o znieważenie przedmiotu czci religijnej.

– Treść aktu oskarżenia jest dla mnie zrozumiała, choć nie rozumiem jego sensu – odpowiadał Urban już w 2014 r. przed sądem. – Przyznaję się do wydrukowania rysunku, lecz nie do obrażenia czyichkolwiek uczuć. Uczucia nie można obrazić. Można obrazić ludzi – Romów, homoseksualistów czy kobiety.

Religia w ogóle wydaje mi się rzeczą niepoważną. Jestem ateistą w trzecim pokoleniu – poinformował wysoki sąd Urban. Tak zaczęła się epopeja, która trwała niemal dekadę i pochłonęła jedną dziesiątą jego życia.

Prokurator w lipcu 2013 r. sformułował akt oskarżenia, a sędzia Agata Pomianowska bez rozprawy, w trybie nakazowym, skazała Urbana na 1000 zł grzywny. Urban się odwołał – dla zasady.

Obraźliwość uczuciowa

W 2014 r. sąd na Mokotowie rozpoczął pełny proces. Na salę zwożono akta na wózku, a oskarżony pojawiał się tam, by wysłuchiwać kolejnych świadków, biegłych i urzędowych formułek. Zeznawali nie tylko autor ilustracji i redaktorzy „NIE”, ale także biegli z rozmaitych dziedzin, powoływani, konfrontowani, czasem odrzucani, a czasem nagle rehabilitowani. Urban ironizował, że jego życie stało się częścią wielosezonowego serialu z Jezusem w roli głównej, a aktorzy zmieniają się tylko w obsadzie drugoplanowej.

Wśród biegłych, których opinie miały stanowić podstawę rozstrzygnięcia, znajdowali się socjolog Rafał Smoczyński, religioznawcy Sławomir Cebula i Kazimierz Banek, a także historycy sztuki Teresa Maria Lisek i Sławomir Chmielewski. Każdy z nich przedstawiał odmienną perspektywę. Smoczyński opowiadał o „gorliwych katolikach”, których uczucia mogły zostać urażone. Cebula podkreślał wagę kultu Najświętszego Serca Pana Jezusa, uznając rysunek za profanację. Banek stwierdzał, że pojęcia „obrazy uczuć religijnych” nie da się zobiektywizować, bo to konstrukt czysto prawniczy. Chmielewski natomiast wykazywał, że ilustracja mieści się w granicach ekspresji artystycznej. Lisek, której opinia pierwotnie mogła stanowić przeciwwagę dla oskarżenia, została odsunięta pod pretekstem domniemanego plagiatu.

Bywało zabawnie. Jak wtedy, kiedy młoda oskarżycielka wpadła spóźniona i z zapałem egzaminowała historyka sztuki z religioznawstwa. Albo kiedy Urban przyniósł ze sobą Jezusa przytulankę i zażądał ustalenia, czy serce na tej zabawce nie jest identyczne z tym, które znalazło się na okładce „NIE”. Biegły przyznał, że różnicy nie ma, poza brakiem krzyża. Prokuratura natychmiast zażądała odrzucenia tego dowodu, a sąd się do tego przychylił.

Po latach przepychanek i przewlekłości procesowej sędzia Rafał Stępak w październiku 2018 r. ogłosił wyrok, który przeszedł do historii. „Uznaję Jerzego Urbana za winnego zarzucanego mu czynu” – brzmiało otwarcie sentencji. Na oskarżonego spadła rekordowa kara: 120 tys. zł grzywny oraz ponad 27 tys. kosztów sądowych. Był to wynik nie tylko 24 razy wyższy od dotychczasowego rekordu Dody, ale też trzykrotnie surowszy od tego, czego domagała się prokuratura.

W uzasadnieniu sędzia Stępak powołał się przede wszystkim na opinię Smoczyńskiego, przyjmując, że rysunek „może obrażać uczucia religijne katolików, w szczególności katolików, których wiara ma charakter gorliwy”. Częściowo podzielił opinię Cebuli o kulcie „Najświętszego Serca”, natomiast całkowicie odrzucił wywody profesora Banka, uznając go za nieobiektywnego. A z obszernej i spójnej analizy Chmielewskiego pozostawił w uzasadnieniu zaledwie jedno zdanie, że rysunek nie jest „szczególnie obrazoburczy”. Resztę opinii, wskazującą jednoznacznie, że nie może być mowy o obrazie uczuć, pominął.

Pierwszy akt tej farsy zakończył się wyrokiem rekordowym, absurdalnym, ale też brzemiennym w skutki – bo otwierającym drogę do apelacji, w której inny sędzia przeprowadził później prawdziwą „sekcję zwłok” tego orzeczenia.

Przypadki chodzą po aktach

Obrońca Urbana mecenas Kazimierz Pawelec w apelacji punkt po punkcie wykazał błędy sądu. Sąd okręgowy przyznał mu rację. „Każde postępowanie karne wiąże się z pewnymi regułami. Jeśli sąd odwoławczy stwierdzi uchybienia, to wyrok uchyla. A w tej sprawie takie właśnie uchybienia nastąpiły” – orzekł sędzia Mariusz Jackowski. I wprost zarzucił pierwszej instancji niezrozumienie opinii biegłych i nielegalne zastępowanie ich własnymi domysłami. Sprawa wróciła na Mokotów.

Na fotelu sędziowskim zasiadła sędzia Katarzyna Balcerzak-Danilewicz. Zamiast kolejnych lat ślimaczenia się sprawy wzięła biegłych w krzyżowy ogień pytań.

„Czy istnieje definicja gorliwego katolika?” – pytała ekspertów. Jeden odpowiadał, że nie ma; drugi, że to tylko ktoś ochrzczony, trzeci – że ktoś chodzący do kościoła i praktykujący.

Urban nie przestawał kpić z samej podstawy oskarżenia: „Nie miałem świadomości, że serce na ilustracji stanowi jakieś sacrum. Potraktowałem je jako logo Chrystusa. Gdyby nie ono, mogłaby to być Conchita Wurst albo redaktor Pochanke”.

8 października 2020 r. sędzia orzekła: „W imieniu Rzeczpospolitej Polskiej Sąd Rejonowy dla Warszawy Mokotowa oskarżonego Jerzego Urbana uniewinnia od zarzucanego mu czynu”.

Wydawało się, że to finał wieloletniego serialu. Ale gdzie tam. Jeszcze tego samego miesiąca prokuratura rozpoczęła wyścig z czasem, by złożyć apelację. Termin upływał 9 listopada. Wydawałoby się, że kilkanaście dni to aż nadto, by przygotować dokument w sprawie, którą prowadzi się od ośmiu lat. Jak złośliwie zauważał Urban, nawet czwartoklasista zdążyłby sklecić kilka zdań uzasadnienia.

A jednak w prokuraturze czas płynął inaczej. Akta sprawy trafiły 6 listopada na biurko pani Nikoli, aplikantki prokuratorskiej. Ta, zamiast natychmiast wysłać dokumenty do sądu, wpisała je jedynie do rejestru jako „przygotowane do zwrotu”. Przez trzy dni nikt się nimi nie interesował. 9 listopada papiery odnalazła jej koleżanka, pani Ela, i w pośpiechu przekazała dalej. Wtedy do akcji wkroczył pan Rafał, goniec prokuratury, który tego samego dnia o 12:28 ruszył z aktami do sądu.

W sądzie dokumenty przyjęła pani Magda z dziennika podawczego i zarejestrowała je właśnie 9 listopada. Problem w tym, że sama treść apelacji wśród tych papierów nie występowała, bo była niewysłana. Zapomniano dołączyć ją do pakietu. Dopiero następnego dnia, 10 listopada, ktoś ją „odnalazł” i dopisał ręcznie w rejestrze, jakby była wysłana dzień wcześniej.

Wszystko to przypominało kabaret biurokracji. Nikomu nie udało się później ustalić, kto zawinił, kto przeoczył termin i kto dopisał fałszywą datę. Jedynym faktem pozostaje to, że sąd odnotował wpływ apelacji 10 listopada, czyli dzień po ustawowym terminie.

Sędzia nie miał więc już nic do rozstrzygania. Nie musiał zagłębiać się w akta, analizować biegłych, porównywać opinii. Dzięki temu, przez zwyczajną opieszałość urzędniczą, sprawa, która mogła jeszcze ciągnąć się latami, zakończyła się definitywnie.

Prokuratura wpadła w furię, przerzucając winę z Nikoli na Elę, z Eli na Magdę, a z Magdy na gońca Rafała. I w taki to idiotyczny sposób, po niemal dziewięciu latach słuchania bzdur Urban ze zdziwionym Jezusem wygrał. Ale paragraf o obrazie uczuć żyje i ma się dobrze.

TADEUSZ JASIŃSKI

Moje życie z Urbanem

Miał rację, nawet jak mnie wypierdalał z roboty

Wezwał mnie do siebie ojciec… No co ja poradzę, że to brzmi jak początek skandynawskiej sagi? No więc latem 1990 r. wezwał mnie do siebie ojciec i powiedział, że podobno Jurek Urban chce wydawać pismo o Rosji i szuka dziennikarzy do zespołu.

Ta informacja dzisiaj brzmi, jakby mój papa nawalił się jak Messerschmitt, ale wtedy nie wydawała mi się nieprawdopodobna. Urban stracił fuchę rzecznika rządu i szukał możliwości zarobku – spekulowałem. Rosja, a dokładniej ZSRR, wtedy była modna, a nawet cieszyła się pewną sympatią i popularnością w Polsce. Przede wszystkim dlatego, że właśnie rozpoczęła spektakularny proces rozpadu. To w Polsce nie mogło nie wywołać ataku adoracji Rosji i Rosjan, bo nic tak nie cieszy moich rodaków jak możliwość spoglądania na sąsiadów zza Buga (nikomu wtedy nie śniło się o wolnej Ukrainie) jak na podludzi, przy jednoczesnym zapewnianiu, że bardzo lubią Rosjan. Pod warunkiem oczywiście, że są niedomyci, niedogoleni, prymitywni, trochę pijani i oczywiście zachwyceni Polską i Polakami. Robić kasę na takiej Rosji to złota żyła. No i nadawałem się do tej wyimaginowanej redakcji: w ZSRR mieszkałem pięć lat, znałem kraj i język.

Informacja od ojca nie była dla mnie zdziwieniem, bo znał Jerzego Urbana ze wspólnej pracy w „Nowej Wsi”, gdzie Łysy zaczynał swoją dziennikarską karierę.

Nie o Rosji

Wlazłem więc na czwarte piętro kamienicy przy Poznańskiej, przez długi, wąski korytarzyk dotarłem do sekretariatu z pytaniem, czy zastałem redaktora Urbana.

– W kiblu – powiedziała mi przemiła sekretarka.

– To poczekam – i umościłem się w wielkim fotelu ustawionym w kącie korytarzyka. W przeciwległym jego końcu pojawił się Jerzy Urban, dopinając spodnie. I tak zapamiętałem nasze pierwsze spotkanie, jak fotografię: pękata figurka Urbana na końcu korytarza, podciągająca garderobę.

– Pan do mnie? To proszę.

Nawet nie siadając, zapytałem, czy prawdą jest, że ma zamiar wydawać pismo o Rosji. Urban odpowiedział, że nie, to ja powiedziałem, że przepraszam za kłopot i do widzenia.

– Zaraz – powstrzymał mnie za plecami jego głos. – Pan jest dziennikarzem?

Odpowiedziałem twierdząco, pracowałem kilka lat w młodzieżowym tytule. Urban oznajmił, że wydaje, ale zupełnie inne pismo i zażądał ode mnie próbek tekstów. Po lekturze rozmawiał ze mną krótko:

– Ile pan zarabia w swojej robocie?

– Milion.

– Ja dam trzy. A za każdy dobry tekst dam tyle, że przez miesiąc nie będzie pan musiał pracować.

Już on dobrze wiedział, na czym polega istota skutecznej rekrutacji.

Dotrzymał słowa. Za pierwszy reportaż o strajku w podpoznańskim Czerwonaku dostałem trzy miliony, ale ważniejsze dla mnie było to, że gdy oddałem maszynopis do czytania, to wyszedł potem ze swojego gabinetu, wszedł do pokoiku, gdzie siedziałem, i powiedział tylko jedno słowo: „Pyszny”. Dobrze się rozpoczęła nasza współpraca.

To był złoty czas. Mój i tej redakcji.

Bal

Najlepiej zapamiętałem to, że podczas robienia każdego kolejnego numeru wszyscy bawiliśmy się szampańsko. Wymyślaliśmy dowcipy, zwischenrufy, powiedzonka, oglądaliśmy przynoszone przez grafików rysunki, rycząc ze śmiechu nad udanymi. I każdy miał w tym tworzeniu gazety swój udział. Kolejnym niesłychanie dla mnie ważnym elementem były osobowości, któ-

eprasa.pl 296a5b9c7c

Przybieżeli do panienek

Urban Wielkim Mecenasem burdelowego dziejopisarstwa

„Paryżanin może nie wiedzieć, gdzie zastrzelono Jeana Jauresa. Paryżanin może nawet nie wiedzieć, acz przyznajemy, że byłoby to karygodne, gdzie pochowany jest Napoleon I. Prawdziwy Paryżanin musi jednak wiedzieć, gdzie mieścił się »One Two Two«. Ależ oczywiście pod numerem 122 ulicy Prowansalskiej. Cóż to był »One Two Two«? Najsłynniejszy burdel Paryża w dwudziestych i trzydziestych latach XX wieku" – pisał na łamach „NIE" Ludwik Stomma, prawdziwy profesor Sorbony, przypominając Czytelnikom, że wchodząc do burdelu, pójdą śladem Aleksandra Wielkiego, Juliusza Cezara, Krzysztofa Kolumba, Mikołaja Kopernika, Napoleona I, Romualda Traugutta, Lenina. Wejdą w sedno kultury europejskiej.

Już od chwili swego powstania tygodnik „NIE" opisywał afery nowej, prawicowej władzy, służalczość wobec niej starych esbeków, pazerność i pedofilię Kościoła katolickiego, wady prezydenta Wałęsy, dynamiczny rozwój polskiego sektora erotycznego. Wszystkie te tematy, zwłaszcza ostatni, były tabu w polskich mediach. My, ówcześni redaktorzy „NIE", łamaliśmy każde tabu, a to ostatnie ze szczególną przyjemnością.

Męczeństwo redaktora X

Prostytucja była Polsce Ludowej i jest w III RP pracą legalną. Nielegalne było i jest sutenerstwo. Wolnorynkowe reformy wprowadzone jeszcze przez ministra Wilczka sprawiły, że kraj nasz zakwitł kantorami, ulicznym handlem na łóżkowych straganach i agencjami towarzyskimi.

Tak nazywano wtedy burdele wabiące klientów ogłoszeniami publikowanymi w prasie papierowej w rubrykach „Towarzyskie". Zwykle brzmiały tak: „Blondyneczka, biust piąteczka" albo „Masaż wszędzie". Każde z nich miało też telefon kontaktowy. Bo wtedy, w ostatniej dekadzie XX w., kontakt z pracownicami seksualnymi nawiązywano za pomocą telefonu stacjonarnego. Zwłaszcza z budki telefonicznej, bo zapewniała intymność negocjacji. Wydzwonione tak pracownice umawiały się na płatne spotkania w lokalach prowadzonych przez sutenerów i burdelmamy. Oficjalnie były to spotkania jedynie towarzyskie, aby alfonsi nie odpowiadali za sutenerstwo.

Publicystyczna eksploracja agencji towarzyskich zaczęła się od wizyty redaktora „NIE" w „Masażu wszędzie". Ponieważ redaktor nadal żyje, to nie podaję jego personaliów. Ponieważ wtedy polski przemysł erotyczny odradzał się po „komunistycznym zniewoleniu", to redaktor X trafił na usługę o chałupniczym charakterze. Wykonywaną w kawalerce pomiędzy brzegiem garnka z gotującym się rosołem a rozwieszonym świeżo upranym praniem.

Opisał swe męczeństwo tak sugestywnie, że nawet ówczesna sekretarz redakcji, postrach kolektywu, zaproponowała trzykrotnie wyższą wycenę honorarium. Stonował ją Urban, przypominając, że co roku na frontach ginie przynajmniej kilku korespondentów wojennych.

Tamto redaktorskie poświęcenie zainspirowało mnie do pomysłu cyklicznego recenzowania dynamicznie rozwijających się agencji. Urban pomysł kupił. Nakazując jednocześnie, aby potraktować temat z należytą dziennikarską rzetelnością i starannością przy dokumentowaniu zbieranych informacji. Zapewnił też sute i stabilne finansowanie projektu.

Ogrom problematyki sprawił, że musiałem zebrać odpowiedni zespół realizacyjny. Postawiłem na młodych, zdolnych dziennikarzy i literatów. Byli wśród nich studenci, bo magisterek i doktoratów nie wymagaliśmy.

Kultura zapierdolu

Przyjęliśmy chińską zasadę, że lepiej raz dotknąć niż sto razy zobaczyć. Przy zbieraniu informacji zastosowaliśmy socjologiczną metodę zwaną obserwacją uczestniczącą. Polega ona na tym, że badacz wchodzi do badanej grupy lub środowiska, staje się jednym z jej członków, a następnie obserwuje ją od wewnątrz, uczestnicząc w jej codziennym życiu i poznając jej zwyczaje, nawyki oraz język. Metoda ta wymaga od badacza spostrzegawczości i dobrej pamięci, a także własnych przemyśleń.

Następnie powołaliśmy zespół recenzyjny. Składał się z kierowcy, koordynatora i trójki testatorów. Tylu mieściło się w jednym samochodzie osobowym. Każdy testator po dokonanym teście dostawał kwestionariusz, gdzie musiał spisać swoje doświadczenie, a w części otwartej wyznać swe wrażenia i spostrzeżenia. Te okazywały się barwne, najciekawsze.

Ponieważ wtedy nie było nawigacji GPS, to przed testowaniem robiliśmy listę wybranych do recenzowania agencji i nanosiliśmy je na plany miast. Tak wyposażony zespół ruszał do pracy. Ciężkiej i wyczerpującej nierzadko. Pracę zaczynał wieczorem, kończył zwykle z kogutów pianiem. Bez przerwy, bo jedna noc musiała wystarczyć na przetestowanie wszystkich reprezentatywnych agencji zlokalizowanych w jednym wybranym mieście.

W realu wyglądało to tak. Do agencji przybywali młodzi ludzie w towarzystwie starszego wujka, czasem cioci. Bo ów bogaty wujek postanowił zafundować bratankom wizytę za zdaną maturę albo magisterkę. „Warto się uczyć" – komentowały panienki i ochroniarze też.

Po wybraniu panienek testatorzy ruszali z nimi do zapewniających intymność pokojów, a reszta zespołu gawędziła z pozostałymi panienkami, barmankami i ochroniarzami. Ponieważ obowiązywały „towarzyskie" stawki za jedną godzinę, to testowanie jednego obiektu nie przekraczało dwóch godzin.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Ponieważ reaktor Urban wysoko postawił poprzeczkę dziennikarskiej rzetelności, zespół musiał przetestować minimum pięć agencji w ciągu jednej nocy. Rekord, bo 13, padł w Trójmieście. Ale wtedy pracowano przez dwie kolejne noce.

Nic dziwnego, że czasem nad ranem wyczerpani testatorzy padali z nóg, prosili kierowcę o zastępstwo w pracy. Zdarzyło się, że zaproponowano usługę towarzyską towarzyszącej młodzieży „cioci". Wujkowi nigdy, bo on płacił za wszystko gotówką. Otrzymaną od Urbana. Trzymał ją w kieszeniach spodni, których zdjąć w agencjach, nawet na chwilę, nie mógł.

Dziś tak intensywnej, odpowiedzialnej i wyczerpującej pracy nikt by się nie podjął. Ale wtedy obowiązywała kultura zapierdolu.

Intensywna obserwacja uczestnicząca dostarczyła ekskluzywny materiał do cyklu publikacji „Witaj, przyjacielu, w burdelu". Pionierskich recenzji polskich przybytków rozkoszy. Były oceniane w kategorii „Orgazmy". W skali od jeden do pięciu. I wiemy z relacji, że były wtedy te recenzje powszechnie czytane i komentowane, także w agencjach.

Wkład w kulturę narodową

30 lat minęło i tamtych agencji już nie ma. Ale na wieki pozostał wkład tygodnika w kulturę polską. Przede wszystkim w polską mowę. Ówczesne pracownice seksualne nazwano w „NIE" wtedy „panienkami". Słowo to zagościło już w języku polskim, jak wiele zastosowanych w „NIE".

30 lat temu Polki i Polacy werbalnie „odbywali stosunki seksualne dowaginalne lub doodbytnicze" albo „pierdolili się, ruchając". Dzięki dziennikarskiej penetracji agencji

tygodnik „NIE" wprowadził do języka polskiego wymyślone przez panienki słowo „bzykać". A także „pukać". Upowszechniliśmy „robienie loda" i „robienie laski", z czego skorzystał potem minister Radek Sikorski. Dawny „stosunek w pozycji klasycznej" został ochrzczony „na Glempa",

a takiż w czasie miesiączkowania panienki „na Indianina". Dawny „homoseksualny stosunek doodbytniczy" to teraz słodkie „kakao", męska panienka to „czekoladka". Zaś „klub biznesmena" to w realu polski burdel.

Dzięki nam Polacy przestali się werbalnie ruchać i pierdolić, a zaczęli się bzykać.

Dzięki nam problemy prostytucji weszły na stałe do debat medialnych, a nawet politycznych.

Dzięki naszej pracy powstał też pierwszy polski burdelowy savoir-vivre. Oto niektóre zasady takiego dobrego wychowania:

„Przy wejściu do pokoju panienkę puszczamy pierwszą. Pytamy ją ewentualnie o łazienkę i ręcznik. Zdjęte ubranie składamy na stojącym krześle. Nie chowamy demonstracyjnie piterka z pieniędzmi, bo to panienkę obraża. Sugerujemy, że obawiamy się kradzieży. Co w porządnym burdelu zdarzyć się nie może.

Proponowaną wspólną kąpiel przyjmujemy z wyrazami radości. Mamy też pewność, że panienka domyje się i nie okradnie nas w czasie naszej samotnej kąpieli.

Podczas bzykania nie całujemy się z panienką w usta. Taki przesąd. Usta panienka ma wyłącznie dla narzeczonego. A klient dla małżonki. Poza tym całując się w usta, można przenieść chorobę przenoszoną drogą płciową.

Ale bywają panienki nieprzesądne. Traktujące klienta jako narzeczonego. To zdarza się, kiedy klient okazuje panience szacunek, czyli nie traktuje jej jak żony.

W czasie bzykania, inaczej niż podczas jedzenia, możemy z panienką rozmawiać. O wszystkim. O jej doli nieszczęsnej, dziecku, które jest u rodziców, hodowli żółwi stepowych, lekturach z III licealnej. Rzadziej o telewizji, bo panienki zwykle pracują w emisyjnym prime timie.

W czasie pobytu w lokalu rozkoszy nie używamy przekleństw. Zwłaszcza wyrażenia »o, kurwa«, bo jest ono wyjątkowo nie na miejscu. Chamstwo, tak jak legitymacje partyjne, zostawia się za progiem burdeli"…

Jakieś pięć lat temu byłem na kolacji ku czci wicepremiera Wietnamu, wydanej przez ówczesnego wicemarszałka senatu – gdańszczanina, jednego z założycieli historycznych już Wolnych Związków Zawodowych, potem jednego z liderów Solidarności. Po serii toastów marszałek zdradził, że zna mnie jeszcze z łamów tygodnika. I wyznał po latach, że on i jego znajomi intensywnie „NIE" czytali, a zwłaszcza cykl „Witaj, przyjacielu, w burdelu". I dodał, że wedle jego zebranych informacji nasze oceny agencji towarzyskich z Trójmiasta były w pełni prawdziwe.

Cześć i chwała testatorom !

I Urbanowi, Wielkiemu Mecenasowi burdelowego dziejopisarstwa.

PIOTR GADZINOWSKI

Fot. ARCHIWUM

re Urban przyciągnął do redakcji: Marek Groński, Zygmunt Kałużyński, Wiesław Górnicki… Do tej pory czytałem tylko ich książki, nawet nie marząc, że będę ich kolegą z redakcji. A kolegia! No perełki. Każdy z tych, którzy tam siedzieli, nawet ci z mniej znanymi nazwiskami, to były osobowości. Słuchanie ich już było wiele warte.

Gdy okazało się, że pismo dobrze zaczęło i Urban przestał bać się o powodzenie przedsięwzięcia, nastąpił okres zwykłej, ale wciąż pasjonującej dziennikarskiej roboty. Tygodnik wstrzelił się w ten moment, kiedy ludzie zaczęli przeczuwać, że z pięknych obietnic panny S gówno zostało. Zobaczyli, że do władzy dorwali się, w znakomitej większości, intelektualne miernoty, pazerne dupki i ludzie, którzy otrzymaną władzą leczyli swoje kompleksy. No i zaczęli smakować uroków kapitalizmu: bezrobocia, zwalniania z dnia na dzień, korupcji, uwiądu państwa takiego, jakie znali do tej pory. Nie ma się więc co dziwić, że pismo, które z jednej strony pokazywało – bez strachu towarzyszącego bez wyjątku wszystkim innym mediom – nową niepiękną rzeczywistość, a z drugiej strony darło z nowej elity łacha, było rozchwytywane.

Wtedy, pamiętam, Jurek (jakoś dość szybko przeszliśmy na „ty", co w gruncie rzeczy wymogła na nas Gośka Daniszewska) miał cudny zwyczaj raz w miesiącu zwoływać cały zespół do jakiejś drogiej knajpy, gdzie na jego rachunek bawiliśmy się do białego rana. Pięknie było…

Weź klucze i spierdalaj

Często mnie pytają, jakim szefem był Jerzy Urban. Odpowiadam, że znakomitym. Prawie nigdy nie podnosił głosu, ale umiał powiedzieć coś przykrego w taki sposób, że człowiek nie to, że umierał ze strachu (Urban nigdy nie chciał budzić lęku), ale czuł się, zasłużenie, mokrą szmatą. Poza wszystkim był dobrym człowiekiem.

Pamiętam, kiedy tułałem się po wynajętych mieszkaniach i raz poprosiłem go, by zezwolił mi na zmieszczenie drobnego ogłoszenia, że szukam mieszkania do wynajęcia, bo nagle straciłem lokum.

– A co, nie masz gdzie mieszkać? – zapytał.

– No musiałbym wrócić do rodziców, a tam niewygodnie.

Urban poszperał w kieszeni i rzucił na biurko pęk kluczy:

– Weź, my z Gośką właśnie wyprowadzamy się do Konstancina.

Odebrało mi jednak mowę, ale nie na tyle, by nie zadać fundamentalnego pytania:

– A ile mam ci płacić?

– Weź spierdalaj – z wdziękiem oznajmił mi mój naczelny i stracił zainteresowanie do dalszej rozmowy na ten temat. Mieszkałem tam chyba dwa lata, może mniej, już nie pamiętam. Później pożyczył pieniądze na wykup mojego pierwszego w życiu mieszkania. Pomagał nie tylko mnie, ale też innym dziennikarzom. Może opowiedzą.

Najgorsze w Urbanie było to, że miał zawsze rację. Milion razy moja miłość własna nakręcała moje wrzaski, że oto skrócił mój bez wątpienia genialny tekst o jakiś fragment, bez którego geniusz tekstu został stracony bezpowrotnie. I za każdym razem, po spokojnej lekturze już na łamach, dochodziłem do wniosku, że jego poprawki służyły jakości artykułu. Miał rację nawet wtedy, gdy mnie wyrzucał z pracy.

Nauka

Dokładniej, nie wyrzucał, tylko doprowadził do sytuacji, kiedy mógł mnie zwolnić zgodnie z regulaminem spółki. I zwolnił. Łojezu, ile ja się na niego naplułem, nawyzywałem, naobrażałem. A kiedy odbierając zwolnienie, na wyraźne polecenie pani Marysi, jego genialnej sekretarki, wszedłem do gabinetu, by się pożegnać – jego pierwszym pytaniem było, czy mam robotę. Bo jakby co… Wiedział i on, i ja, że przecież gdybym tylko spełnił naprawdę jego niewymagające warunki, to mógłbym pracować tam do emerytury. Ale ja już chciałem iść na swoje i gdy zostałem naczelnym swojej redakcji, zrozumiałem, że zwolnienie mnie było – z punktu widzenia Jurka i dobra redakcji – ze wszech miar uzasadnione. Poróżniliśmy się politycznie. Gadać o tym nie chcę, ale myślę, że rację miał Zbigniew Stonoga, który w jakimś swoim filmiku zdradził kulisy mojego rozstania z redakcją. No i dobrze.

Wszystko, co umiem dobrego, umiem od niego. Niepraktycznego też: nadmiernego ufania ludziom, unikania radykalnych rozwiązań najdłużej jak się da, ciekawości świata, choć wcale na to nie zasługuje.

Kawał mojego życia. Czasem z nim rozmawiam. To są ciekawe pogawędki.

MACIEJ WIŚNIOWSKI

eprasa.pl 296a5b9c7c

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Moje dorastaNIE

Pewnego dnia na początku lat 90. do moich dziadków przyjechał traktorem znajomy z pobliskiej wsi. Przywiózł ze sobą ledwo legalną bibułę: wielką płachtę gazety z jebiącym po oczach napisem „NIE". Był to dzień, który zmienił moje życie i wpłynął na wybory, jakich w przyszłości dokonałam.

Dziadek, widząc, jak z wypiekami pochłaniam „Dziennik Cotygodniowy", regularnie kupował mi „NIE", które sprzedawcy w kioskach mieli przykryte, aby nie kłuć w oczy bogobojnych klientów. Mogłam czytać o tym, jak solidaruchy zostawiły na pastwę losu miliony ludzi, odzierając ich z godności i środków na życie. Widziałam to na własne oczy, bo w mojej wsi był PGR. Jego niegdysiejszy personel regularnie przesiadywał pod sklepem i chlał wódkę z musztardówek, a jak ich na ten śmierdzący zajzajerem trunek nie było stać, na ławce królowały nalewki zwane potocznie mózgojebami.

Jak większość zaczynałam czytanie numeru od felietonu Urbana skrzącego się humorem, bez nadęcia, lecz z głębią rozważań, którą ówcześnie raczej wyczuwałam, niż byłam w stanie do końca pojąć. Kiedy wiele lat później wstąpiłam do Ruchu NIE (Niezależnej Inicjatywy Europejskiej), prawie posikałam się ze szczęścia, gdy moje miasto nawiedził Urban – jak się okazało, starszy, kulturalny pan, który nawet poczęstował mnie fajką (choć ówcześnie nie paliłam, ale nie śmiałam odmówić mojemu guru).

W podstawówce markerem mazałam po ścianie: „Komuno, wróć!". Serce miałam od zawsze po lewej stronie, tak było, jest i (jeśli Bozia mi na starość nie odbierze rozumu) będzie. Miałam dość szarogęszenia się kleru, snujących się po ulicach nazioli, którzy szukali kogoś, kto wyglądał inaczej – a ja byłam częścią tzw. młodzieży alternatywnej – aby spuścić mu wpierdol.

Dziś zapomina się o tym, lecz przez pierwszą dekadę po upadku komuny to właśnie nasz tygodnik stał w pierwszym szeregu tych, którzy bronili tego, co w PRL było dobre; godności ludzi, którzy uczciwie pracowali i wychowywali dzieci przed 1989 r., a nagle próbowano wymazać ich życiorysy, zanegować ich świat.

Urban wykazał się cywilną odwagą, gdy wystąpił przeciw rządom Leszka Millera, które nie miały nic wspólnego z lewicową wrażliwością. Powiedzieć „nie" własnemu środowisku w imię wartości – to nie byle co…

„NIE" należało i należy do elitarnego grona czasopism satyrycznych w skali Europy, które językiem prostym i dosadnym – często wulgarnym – opowiadało i nadal opowiada o świecie, który nas otacza.

Jeśli dziś na łamach „Wyborczej", „Newsweeka" czy „Polityki" pisze się wprost o perfidii, zakłamaniu,chciwości, a nawet i zbrodniach klechów – to grunt pod ową krytykę przygotował Urban i jego ludzie, nikt inny.

Nigdy nie należałam do pokolenia JP2, ja należałam do pokolenia JU. Nie płakałam po papieżu-Polaku i doskonale pamiętam uczuciowy szantaż, jeśli nie terror, aby opłakiwać Wojtyłę. Nie płakałam również po katastrofie smoleńskiej, bo życie zwykłego szaraczka jest dla mnie równie istotne – jeśli nie bardziej – od życia prezydenta mojego kraju i jakichś grubych ryb ze stolicy.

To od Urbana przejęłam trzeźwość umysłu, nieuleganie ckliwości i uczuciom stadnym, a także szlifowanie poczucia humoru, przez co dzisiaj cierpią moi studenci, dziwiący się nieraz, czemu moje zajęcia są na luzie i bez nadęcia.

Dziś po pokoleniu JP2 nie zostało prawie śladu, a pokolenie JU wychowuje własne dzieci, kolejnych małych lewaków. W ten sposób idzie w przyszłość sztafeta pokoleń…

KAT

Opowieść wnuka węglarza

Urban, „Playboy" i ja

4 października 1990 r. Urban wypuścił pierwsze „NIE". Nie było mnie przy tym. Do redakcji tygodnika zwerbowano mnie dopiero pięć lat później. Zanim trafiłem do Urbana, odbyłem pielgrzymkę po różnych redakcjach, gdzie konsekwentnie odbijałem się od drzwi.

Mój dziadek handlował węglem, więc smykałkę do handlu odziedziczyłem. A skoro handel, to i kombinowanie – więc kombinowałem, wysyłając życiorysy, gdzie się da. I w końcu trafiłem. Nie do „Polityki", nie do „Wyborczej", tylko do… polskiej edycji „Playboya".

Nie jako dziennikarz. Zatrudniono mnie do handlu. Miałem pilnować, żeby pismo z gołymi babami docierało do kiosków. Awansowałem podobno nawet na dyrektora. Znajomi pękali z zazdrości: „Playboy", luksus, kobiety, światło fleszy. Redakcja mieściła się w pięknej willi na Placu Słonecznym na warszawskim Żoliborzu, gdzie wszystko pachniało drogo. Od dywanów po papier w drukarce. Każdy myślał, że kąpię się w szampanie i towarzystwie króliczków.

W rzeczywistości kąpałem się w tonach egzemplarzy do rozwożenia, w wiecznym smrodzie drukarni i utylizacji zwrotów. A przede wszystkim – w wyciąganiu pieniędzy od firm kolporterskich, które bankrutowały dokładnie w tym samym tempie, w jakim powstawały nowe.

Urban i indeks: przypadek czy przeznaczenie?

I tu trzeba rozpocząć z innej strony: z Urbanem byłem związany, jeszcze zanim go poznałem. Zaczęło się od książki „Wszystkie nasze ciemne sprawy" – zbioru reportaży i opowiastek z życia PRL. Najlepsza książka mojego dzieciństwa. Mając 10 lat, nie miałem bladego pojęcia, kto to w ogóle jest ten Urban. Kilka lat później zobaczyłem go w telewizorze – jako rzecznika rządu. Dużo później mnie olśniło: że to autor mojej ulubionej książki siedzi w telewizji i tłumaczy narodowi, że wszystko jest pod kontrolą, a generał Jaruzelski wie, co robi. W każdy wtorek.

Potem, wiedząc, że na egzaminach na dziennikarstwo polegnę, wypatrzyłem boczne drzwi. Młodzieżowy tygodnik „Razem" ogłaszał doroczny konkurs „Indeks za debiut": debiut w „Razem" i indeks na dziennikarkę.

Napisałem, doszedłem do finału, zasiadłem przed wysoką komisją konkursową. Kilku profesorów, paru redaktorów. Padło pytanie: – Kto pana zdaniem jest najlepszym polskim dziennikarzem?

Powiedziałem szczerze, absolutnie niekoniunkturalnie: – Jerzy Urban.

Lepiej byłoby, gdybym wtedy pierdnął. Komisja zamilkła.

– No to panu dziękujemy.

Nietypowy radar dr. Osicy

Byłem pewny, że poległem. Zatem kilka dni później poszedłem na UW składać papiery na regularny egzamin. Na tablicy ogłoszeń wydziału dziennikarstwa UW zobaczyłem komunikat: „Konkurs »Razem« został rozstrzygnięty. Indeks otrzymuje"… I tam, czarno na białym moje nazwisko!?

Kurwa, ale jak to możliwe? Co zdecydowało – dowiedziałem się dopiero trochę później.

Otóż w komisji konkursowej siedział dr Janusz Osica, specjalista od historii Polski, człowiek poważny, a jednocześnie obdarzony wyczulonym radarem na nonkonformizm. Wygrałem jednym głosem: właśnie jego. To on zauważył, że odpowiedź o Urbanie nie była podlizywaniem się, tylko aktem bezczelności. Komisja miała wybór: ukarać czy nagrodzić. Osica uznał, że warto nagrodzić.

Tak oto nazwisko Urbana, z którym nie miałem wtedy nic wspólnego, otworzyło mi bramy Uniwersytetu Warszawskiego. Człowiek, którego znałem tylko z książki i telewizyjnych konferencji, nieświadomie załatwił mi indeks. Takich rzeczy się nie zapomina!

Telefon z kosmosu: Astroman dzwoni z robotą

Ale wróćmy do redakcji „Playboya". Rok 1995. Siedzę w swoim „gabinecie". Na biurku kalkulator, stos faktur.

Zamiast pracować – czytam tygodnik „NIE" zapakowany w „Gazetę Wyborczą". Tak, proszę państwa: w redakcji pisma o goliznach musiałem udawać, że interesuję się Adamem Michnikiem.

Kiedy byłem pogrążony w lekturze, zadzwonił telefon stojący na biurku. Odezwał się facet, który przedstawił się jako Astroman. – Czy nie chciałby pan zmienić pracy?

Kolegium grozy: od drżenia łydek do etatu marzeń

Na pierwszej rozmowie z Urbanem obecny był Marek Barański, wówczas zastępca. Urban nie wydawał się mną zachwycony. To Barański musiał go przekonać, że warto dać mi szansę. Dwa miesiące później byłem na pierwszym kolegium redakcyjnym. To przeżycie, którego wolałbym nie powtarzać. Na sali siedziało dwóch pułkowników, profesorów, a także dziennikarskie sławy, które dotychczas znałem tylko jako nazwiska w prasie.

Pierwszy tekst opublikowałem dopiero po trzech miesiącach, tuż przed końcem okresu próbnego. Później dowiedziałem się, że i tak planowano dać mi rok – żeby sprawdzić, czy w ogóle się nadaję.

Dziś minęły trzy dekady. I była to najlepsza robota na świecie. Serio: w Polsce nie było drugiej takiej redakcji (no, może poza „Wyborczą"), w której dziennikarz z pasją mógłby tak szaleć.

Każdy tydzień był jak osobna przygoda. Człowiek nigdy nie wiedział, czy następnego dnia wyląduje w hotelu, na komisariacie, czy może na plebanii. Poznałem cały przekrój gatunków ludzkich: polityków, którzy myśleli, że są wieczni; gangsterów, którzy myśleli, że są nieśmiertelni; prostytutki, które wiedziały, że żadna wieczność nie trwa dłużej niż godzina; milionerów, którzy znikali szybciej niż ich pieniądze, i nędzarzy, którzy trwali dłużej niż wszystkie rządy razem wzięte. A ja – między nimi wszystkimi – z notesem w ręku i wrażeniem, że uczestniczę w jakimś wielkim kabarecie.

Niewidzialny szef, widzialny porządek

Zarobki? Umiarkowane. Za to był inny luksus. Redakcja nie znała słowa „oszczędności", jeśli chodziło o dobry tekst. Samolot? Proszę bardzo. Kilka dni w hotelu, żeby dogrzebać się do jakiejś afery? Nie ma sprawy. Telefon na drugi koniec świata, żeby zapytać ministra, czemu kłamie? Od razu łączyć. Zero ograniczeń w dochodzeniu do prawdy. Urban zawsze powtarzał, że tekst musi być dobry, a nie tani.

Jaki był?

Dla mnie był szefem niewidzialnym. Niby dzieliły nas tylko podłoga i sufit, ale kontakt mieliśmy raczej sporadyczny. Oczywiście poza cotygodniowymi kolegiami, na których Urban sprawiał wrażenie, że wie wszystko i o wszystkich. To do dziś moja największa zagadka: jak on właściwie zarządzał wydawnictwem URMA, skoro wyglądało, że w ogóle tego nie robi?

A jednak robił. I to jak! Nikt tego jeszcze głośno nie powiedział: Urban był dobrym menedżerem i przedsiębiorcą. Modelowe wydawnictwo. Wszystko działało jak w szwajcarskim zegarku: ZUS opłacony, podatki odprowadzone, umowy podpisane, a sprzątaczka co tydzień zmieniała kwiaty we wszystkich wazonach, jakbyśmy byli w luksusowym hotelu, a nie w gazecie, która co numer robiła burdel w kraju.

Krótko mówiąc: Urban stworzył coś, co w Polsce lat 90. graniczyło z cudem – wydawnictwo, w którym wszystko było jak należy. I tylko jedno nie było jak należy: nasze teksty. Bo te zawsze miały wyglądać tak, żeby komuś spieprzyć humor na cały tydzień.

Inżynieria spokoju

Z Urbanem nigdy się nie pokłóciłem (27 lat). I nie dlatego, że nie było o co, tylko dlatego, że on nie dawał okazji. Jego uwagi były zawsze rzeczowe. Zero histerii, zero rzucania popielniczką. A jak człowiek narobił bigosu, to zamiast reprymendy dostawał adwokata. Normalnie, z honorarium opłaconym przez wydawnictwo.

Urban nie okazywał swojej wyższości. Nie był też sarkastyczny wobec podwładnych. Sarkazm zostawiał Czytelnikom i politykom. W redakcji był dziwnie normalny. Pukał, jak chciał wejść do redaktorskiego pokoju.

Zwalniał ludzi rzadko, bo uważał, że to brudna robota. Wolał tak poustawiać sytuację, żeby ktoś sam odszedł, najlepiej z poczuciem, że to jego własna, w pełni autonomiczna decyzja. Był mistrzem inżynierii społecznej. Efekt? Zamiast bać się szefa, człowiek miał wrażenie, że pracuje w dziwnej komunie: wolno ci było pisać, co chcesz, wolno ci było się pomylić, a jak już cię ktoś pozwał – to i tak firma brała koszty na siebie.

Umysł z pierwszej ligi

Jerzy Urban dla mnie zawsze pozostanie człowiekiem zagadką. Paradoks polega na tym, że więcej dowiedziałem się o nim z jego tekstów niż od niego samego. W końcu służbowa zależność wyklucza pewne tematy. Nie pyta się szefa o sens życia, kiedy wisi nad tobą z długopisem gotowym skreślić połowę reportażu.

Był jednym z pięciu największych umysłów, jakie urodziła Polska w XX w. Postawiłbym go obok Lema, Wisłockiej, Kołakowskiego i Baumana. Lem wymyślał światy, które nie istniały. Wisłocka opisywała rzeczy, które istniały, ale nikt o nich nie mówił. Kołakowski filozofował o tym, dlaczego nic nie działa tak, jak powinno.

A Urban? Urban brał to wszystko, wrzucał do miksera i podawał narodowi w formie felietonu.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

W przeddzień rocznicy

Ostatnie trzy lata jego życia nie są mi dobrze znane. Covid zamknął go w konstancińskiej willi i już nigdy stamtąd nie wyszedł. 3 października 2022 r., dokładnie w przeddzień 32. rocznicy ukazania się pierwszego numeru tygodnika „NIE", zadzwonił ten telefon, którego nikt nie chce odebrać. Byłem zaskoczony jak dziecko, któremu powiedziano, że Mikołaj nie istnieje. Jak to – umarł? Przecież miał zaledwie 89 lat! Dziś wiem, że to nie była tylko śmierć redaktora naczelnego, ale koniec epoki.

No to chyba wszystko, chociaż właściwie prawie nic, jak na 35. rocznicę tygodnika „NIE".

ROBERT JARUGA

eprasa.pl 296a5b9c7c

Strach ma węgla oczy

Nie wszystko złoto, co się świeci. Szczególnie czarne.

W kampanii wyborczej Karol Nawrocki zaklinał się, że zrobi wszystko, by „polska energia była tania, bezpieczna i pochodziła z naszego węgla”. W tej samej kampanijnej gorączce wtórował mu Marek Jakubiak, opowiadając, że węgla mamy na 900 lat. Nie wspominając już o tym, że Andrzejowi Dudzie wychodziło, iż czarnego złota starczy nam na jakieś 200 lat.

Jak za Gierka

Bo prawica mówi o węglu jak biskupi o relikwiach. Z nabożeństwem, patosem i głębokim przekonaniem, że ten oto czarny kamień dał Polsce niepodległość, dobrobyt i ciepło w rurach.

Może i kiedyś dał, ale na pewno nie teraz. Polskie górnictwo jest dziś reliktem, do którego trzeba dopłacać miliardy rocznie. Kopalnie przynoszą straty, a węgiel, który się z nich wydobywa, kosztuje parę razy więcej niż ten dostępny na światowych rynkach. Wszak koszt wydobycia tony węgla kamiennego w Polsce to około 920 zł. W USA – 130–160 zł.

Nie chodzi tylko o koszt. Chodzi o sens. Bo nawet jeśli tego węgla rzeczywiście wystarczyłoby nam na 200 czy 800 lat – co i tak jest wątpliwe, skoro nikt nie wie, jakie są jego wydobywalne rezerwy – to i tak nic z tego nie wynika. Bo ten węgiel leży coraz głębiej, coraz trudniej go wydobyć, a do tego trzeba jeszcze dodać ryzyko metanu, koszty bezpieczeństwa, technologii i ludzkiego życia.

Budżet państwa co roku traci 9 mld zł na samym tylko podtrzymywaniu tej węglowej atrapy. Niestety, niezbędnej, bo atomowej alternatywy dla węgla nie ma. A prąd z OZE raz jest, a raz nie.

Dziś udział węgla w miksie energetycznym Polski to około 54 proc. Niedawno było to ponad 80 proc. Coś się jednak zmienia. W ciągu dekady udział ten spadł o ponad 30 punktów procentowych. Nie dlatego, że ktoś kazał. Ale dlatego, że OZE są tańsze.

Kiedy w styczniu 2019 r. prezydent Niemiec zamykał ostatnią kopalnię węgla kamiennego w Zagłębiu Ruhry, zrobił to bez emocji, bez oporu, bez łez. Proces trwał latami. Decyzje zapadały nie na wiecach, tylko na poziomie rządowym. Gdzie kalkulator był ważniejszy niż megafon. W Polsce nikt nie chce być tym, kto wyłączy światło w ostatnim szybie.

Rząd boi się dotknąć węgla, jakby to był materiał wybuchowy. Wie, że kopalnie trzeba zamykać, że koszty są gigantyczne, że emisje metanu w kopalniach przekroczą limity, a nikt rozsądny nie zainwestuje w reaktywację stuletniego zakładu. Ale nie powie tego głośno.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

W obawie, że Śląsk się obrazi, że związki wyprowadzą ludzi na ulice, że w sejmie zacznie się lament o godności pracy górnika i zdradzie narodowej suwerenności energetycznej.

Szyb wybuchowy

A jednak wszystko zmierza w jednym kierunku. Import jest tańszy niż krajowa produkcja. Górnictwo stało się ekonomiczną fikcją. Jedynym powodem, dla którego ono jeszcze istnieje, jest polityka. I mit, że węgiel to fundament niepodległości. Że to jedyne paliwo, które mamy pod nogami. Że jego zamknięcie to zamach na tożsamość. Że jak odejdziemy od węgla, to będziemy zdani na łaskę Niemców, Rosjan albo – nie daj Bóg – Brukseli. Mit, za który tylko w 2023 r. państwo dołożyło 9 mld zł do sektora węglowego, by sztucznie utrzymać jego rentowność.

Wszystko to dzieje się w kraju, który według oficjalnych danych ma dziewiąte co do wielkości zasoby węgla na świecie. Ale zasoby to nie rezerwy. To, co leży pod ziemią, nie musi się opłacać wykopywać. Szczególnie gdy kopalnia ma 100 lat, jest przestarzała, a szyby schodzą na głębokość, z której metan wysadza całe ściany. Tak pracuje dziś większość polskich zakładów wydobywczych.

Zeszły rok to 43 mln ton wydobycia. Tyle, co w czasach zaborów. A mimo to dalej dotujemy, dalej zapewniamy, dalej odraczamy. Teraz mamy na stole ustawę metanową. Wejdzie w życie. Najpierw monitoring. Potem limity – pięć ton metanu na tysiąc ton węgla. Potem trzy. Dla większości kopalń w Polsce to koniec. Po prostu się nie zmieszczą. I nie chodzi tu o widzimisię eurokratów. Chodzi o bezpieczeństwo. O życie ludzi. O eksplozje.

Na 20 istniejących kopalń tylko pięć nie jest metanowych. Reszta to tykające bomby. Wstrzymano inwestycje, nie ma modernizacji, nie ma planów rozwoju. Jest tylko czekanie. Na cud. Albo na to, że unijne przepisy jakoś uda się obejść. Ale się nie uda. W rozporządzeniu UE 2024/1787 zapisano konkretne daty, progi, kary. Od 2027 r. próg emisji metanu spada do 5 ton, od 2031 – do 3 ton. Zakazano rutynowego wypuszczania metanu z systemów odmetanowania. To nie są luźne zalecenia.

To prawo, które wywróci polskie górnictwo. Albo rząd sam zamknie kopalnie, albo zamknie je Wyższy Urząd Górniczy, powołując się na bezpieczeństwo pracy. Inspektorzy mają prawo zatrzymać produkcję z dnia na dzień. Jeśli stężenie metanu przekroczy próg – nie trzeba czekać na decyzję ministra.

Powtórka z Buzka

Polski rząd, zamiast zamykać – płaci. I mimo że górnictwo generuje straty, a jego dni są policzone, to przeciętny górnik zarabia dziś półtora raza tyle, co polska przeciętna płaca. Dlaczego? To pytanie retoryczne. Odpowiedź znają wszyscy: Solidarność, związki zawodowe górników. Lobby, które jakimś cudem ciągle ma większą siłę przebicia niż cała branża technologii odnawialnych razem wzięta.

Na koniec pierwszego kwartału 2025 r. średnia pensja w sektorze wydobywczym wynosiła 12,3 tys. zł brutto. Dla porównania – średnia krajowa to 8,7 tys. zł. W przemyśle: 8,6 tys. zł. A przecież dynamika wzrostu wynagrodzeń w górnictwie jest niższa niż w całej gospodarce. Co tylko pokazuje, z jakiego poziomu startowano. I że przez lata nikt nie miał odwagi tego poziomu zakwestionować.

Eksperci nie mają złudzeń: „Nierentowne kopalnie mogą funkcjonować jedynie dzięki wsparciu państwa”; „Wysokie wynagrodzenia w branży są w dużej mierze efektem działalności silnego lobby górniczego”. I nie chodzi już o tłumy pod ziemią. Bo tych tłumów nie ma. Na koniec marca 2025 r. w górnictwie zatrudnionych było 73 tys. osób. Rok wcześniej: 76 tys. 10 lat temu – o jedną trzecią więcej. Pod koniec lat 90. fedrowało węgiel 300 tys. osób! Ludzi ubywa. Problem zostaje.

Ale jest rządowa nowelizacja ustawy górniczej. 8,63 mld zł na osłony, urlopy, odprawy. Oczywiście z budżetu państwa. Bo przecież jak zamykać kopalnie, to tylko w białych rękawiczkach. Odprawy zwiększone ze 120 do 170 tys. zł. Urlopy górnicze – pięć lat przed emeryturą, 80 proc. wynagrodzenia. Świadczenia nieopodatkowane. Możliwość przeniesień. Preferencje przy zatrudnieniu. Darowizny na cele publiczne. Wszystko elegancko.

Tyle że plan masowych zwolnień w górnictwie to déjà vu. Jerzy Buzek, Janusz Steinhoff, rok 1998. Reforma górnictwa. 23 zamknięte kopalnie. 100 tys. ludzi dobrowolnie odeszło z sektora. Przy jednym rządzie. W ciągu kilku lat. W warunkach niemal całkowitego spokoju społecznego – z jednym wyjątkiem jednodniowej okupacji ministerstwa. Każda kopalnia przeznaczona do likwidacji miała szczegółowy plan. Górnik albo rezygnował z pracy, przechodził na pięcioletni urlop przedemerytalny albo otrzymywał ok. 40 tys. zł jednorazowej odprawy bądź szedł do kopalni, która nie była likwidowana, na miejsce górnika, który decydował się na odejście. A dziś? Zostało niecałe 75 tys. ludzi. Mniej, niż się wtedy zwolniło.

Ale scenariusz ten sam. Pakiety socjalne. Urlopy. Odprawy. Przeniesienia. Znów mówi się o „restrukturyzacji” i „wygaszaniu”. Tylko że tym razem nikt nie ma odwagi powiedzieć: „zamykamy”. Bo Solidarność już czeka. Już ostrzy megafony. Już przygotowuje transparenty. A rząd – jak zwykle – będzie grał na czas.

A każda tona węgla wydobyta z wszystkich z wyjątkiem jednej kopalni to strata. Nie tylko finansowa. To też strata czasu. Państwo, które w 2024 r. wydało 8,6 mld zł na wsparcie górnictwa, nie ma prawa mówić, że nie stać je na OZE, na modernizację sieci, na transformację energetyczną.

TADEUSZ JASIŃSKI

życie W DOBROBYCIE

● Od lat policja ostrzega seniorów przed fałszywymi wnuczkami, banki przypominają o rzekomych konsultantach, a media rozpisują się o kolejnych przekrętach na policjanta. Wychodzi jednak, że największym oszustem wcale nie jest cwaniak w słuchawce telefonu, ale państwo. A właściwie jego emanacja – ZUS. „ZUS musi wypłacić wyrównania wynoszące nawet kilkadziesiąt tysięcy złotych seniorom, którzy wygrali w sądach” – informują prawnicy. I dodają, że problem dotyczy tych, którzy przeszli na wcześniejsze emerytury przed 6 czerwca 2012 r. Wtedy wprowadzono przepisy, które złupiły starszych ludzi z pieniędzy, jakie im się należały. Mechanizm był prosty: kto miał odwagę przejść na wcześniejszą emeryturę, ten po osiągnięciu wieku ustawowego dostawał świadczenie pomniejszone o to, co wcześniej już pobrał. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że taki numer jest niezgodny z konstytucją, bo państwo zmieniło zasady w trakcie gry. Ale rząd nie opublikował wyroku, więc systemowych rozwiązań brak. Emeryci muszą więc sami ciągać się po sądach, a ZUS do końca broni swojego, jakby każda wypłata była wyjęta z kieszeni urzędników, a nie z portfela ludzi, którzy latami odprowadzali składki. I wygrywają. Emerytka z rocznika 1956, była nauczycielka, dostała po wyroku sądu emeryturę wyższą o 988,20 zł miesięcznie i wyrównanie 11 751,40 zł. Jej kolega po fachu, emeryt z rocznika 1957, wygrał 2097,54 zł miesięcznie więcej i dodatkowo 29 642,66 zł wyrównania. Oboje idą dalej – zamierzają domagać się od państwa odszkodowania. Ona 50 tys. zł, on 60 tys. zł. Bo dziadkowie i babcie wcale nie muszą się bać nieznanych numerów w telefonie. Wystarczy, że raz na miesiąc listonosz przyniesie im decyzję z ZUS. A właśnie w tych kopertach czai się największe niebezpieczeństwo dla portfela polskiego seniora.

● Żeby jednak tylko… Rząd z fanfarami zapowiadał „bon senioralny”. Miała to być manna z nieba dla emerytów. Wyszła kolejna gra pozorów. „Bon senioralny to nowe wsparcie dla najstarszych Polaków, ale nie dla wszystkich. Rząd przyspiesza prace nad ustawą wprowadzającą bon” – czytamy w rządowych dokumentach. Maksymalna wartość bonu ma wynosić ponad 2 tys. zł miesięcznie, czyli połowę minimalnego wynagrodzenia. Brzmi dobrze? Niekoniecznie. Bo senior nie zobaczy z tych pieniędzy ani złotówki. Bon nie będzie wypłacany w gotówce, a całość pójdzie na usługi opiekuńcze. Na tym nie koniec. Początkowo miało być tak – wsparcie od 75. roku życia, ale w projekcie ustawy pojawił się haczyk. Do 2028 r. bon dostaną tylko ci, którzy mają 80 lat i więcej. Od 2029 r. próg wieku faktycznie spadnie do 75 lat. Ale i wtedy nie każdy się załapie. Bo oto pojawiają się kryteria dochodowe. Senior nie może mieć więcej niż 3410 zł brutto miesięcznie. Na dodatek państwo będzie zaglądać do kieszeni ich dzieci i małżonków. Jeśli mają dochód wyższy niż widełki przewidziane w ustawie, bon przepada. I jeśli ktoś prowadzi jednoosobowe gospodarstwo, jego zarobki muszą zmieścić się między 3500 a 6700 zł. W rodzinie wieloosobowej łączny dochód nie może przekroczyć 10 tys. zł. Próg ma być weryfikowany co roku, więc nawet ci, którzy dziś spełniają warunki, jutro mogą z nich wypaść. Senior, który już jakimś cudem prześlizgnie się przez sito kryteriów, dostanie maksymalnie 60 godzin pomocy miesięcznie. A „pomoc” oznacza zatrudnienie pracownika socjalnego, którego i tak trzeba będzie opłacić z państwowego bonu. Zatem cała ta obiecana kasa, zamiast trafić do kieszeni emeryta, wróci do budżetu. Pierwsze wnioski o bon będzie można składać dopiero we wrześniu 2026 r. Do tego czasu starszym Polakom pozostaje oglądać kolejne konferencje prasowe i słuchać o „wielkim wsparciu”. Na dodatek program ma być jednym z elementów Krajowego Planu Odbudowy. Czyli tak naprawdę nie chodzi o seniorów, a o rozliczenia z Brukselą.

● A kasa z KPO wydana być musi. Nieważne, czy ma sens, czy nie. Ważne, że się zgadza w tabelkach i można potem ogłosić sukces. Zaczyna to przypominać złote czasy sprzed kilkunastu lat, gdy unijne dotacje lały się szerokim strumieniem, a samorządy – nie mając lepszego pomysłu – betonowały centra miasteczek i stawiały aquaparki. Tym razem rolę aquaparku przejął… żłobek. „Na wschodniej Białołęce przy ulicy Kobiałka zbudowany zostanie kolejny publiczny żłobek dla 100 dzieci. Podpisano już umowę z wykonawcą” – ogłosił stołeczny ratusz. Koszt inwestycji to 13,4 mln zł. Kto płaci? 5,7 mln zł wyłoży KPO, 1,3 mln zł budżet państwa, a resztę – 6,4 mln zł – dorzuci Warszawa. Fajnie? Nie bardzo otóż. Bo oto w samej Białołęce już dziś wolnych jest 301 miejsc w żłobkach. A w całej Warszawie – 3809. Czyli zanim ktoś wbije pierwszą łopatę pod nową placówkę, wiadomo już, że dzieci, które miałyby tam uczęszczać… po prostu się nie urodzą. W stolicy przychodzi na świat niespełna 12 tys. dzieci rocznie, a liczba ta systematycznie spada. A co dalej z pustymi żłobkami? Ratusz już kombinuje – zmniejszanie liczebności grup, zajęcia dodatkowe, elastyczne remonty. Czyli zamiast dzieci puste sale, które będzie można wynająć albo przemalować.

● Polska gospodarka podobno rozwija się dzięki inwestycjom zagranicznym. Firmy przychodzą, budują fabryki, sklepy, banki, wnoszą technologię. I owszem, ale potem zaczyna się etap, w którym „inwestycja okrzepła”. I nagle okazuje się, że z Polski szerokim strumieniem wypływają miliardy złotych, które firmy w Polsce zarobiły. Największa kwota dywidend w 2023 r. popłynęła do Holandii – 12,8 mld zł. Tyle że Holandia jest jedynie przystankiem. Tam pieniądze się kumulują, by następnie polecieć dalej – do Portugalii, Niemiec, USA czy RPA. W samej Holandii zostało raptem 3,5 mld zł, z czego 3,3 mld zł to dywidenda ING Banku Śląskiego. Reszta? 4,1 mld zł wypłaciło Jeronimo Martins Polska, właściciel Biedronki i Hebe, transferując kasę do Portugalii. Rossmann dał 1,6 mld zł, które docelowo wylądowały w Niemczech. OLX 632 mln zł wysłał do RPA. Ikea – 403 mln zł – do Szwecji. Coca-Cola – 211 mln zł – do USA. Nawet Polpharma, choć polska, posłużyła się Holandią, by 784 mln zł wróciło do Jerzego Staraka. Drugim ulubionym adresem transferowym jest Luksemburg. Stamtąd do Niemiec trafiło 639 mln zł od Volkswagena Poznań, a 200 mln zł z Ciechu – już jako Qemetica – wróciło do Sebastiana Kulczyka. Część jednak w księstwie została – np. 344 mln zł od InPostu czy 177 mln zł od Dom Development. Jeśli chodzi o kraje docelowe dywidend, prym wiodą Niemcy – 5,9 mld zł. To pieniądze od Rossmanna (1,6 mld zł), Lidla (835 mln zł), Volkswagena Poznań (639 mln zł), Warty (360 mln zł), Ergo Hestii (332 mln zł) i Mercedesa z Jawora (331 mln zł). Na drugim miejscu Portugalia – 4,1 mld zł, czyli głównie transfer z Biedronki. Potem Holandia – 3,5 mld zł, Hiszpania – 3,3 mld zł (Santander Bank Polska i Budimex) i Francja – 3 mld zł (Play i BNP Paribas). Jak widać, w tej karuzeli uczestniczą też polskie firmy. Kulczyk, Starak i Brzoska pokazują, że dywidendy można wyprowadzić za granicę, żeby potem wróciły do kraju w eleganckim opakowaniu z Luksemburga czy Holandii. Potem wielkie firmy opowiadają, że wytransferowane z Polski zyski wracają do nas jako inwestycje. Tyle że patrząc na dzisiejsze statystyki, inwestycje spadają, a dywidendy rosną. Ot, kapitalizm.

TTJ

eprasa.pl 296a5b9c7c

Zatrzymajmy wszystko dla Gazy

Nauki z włoskiego strajku generalnego

Włochy stoją lewicą i antyfaszyzmem. Wyniki wyborów oraz włoska polityka parlamentarna tego, rzecz jasna, nie odzwierciedlają, a wręcz takiemu założeniu przeczą – za to stan włoskiego społeczeństwa obywatelskiego świadczy o tym najlepiej. Silnie uzwiązkowione środowisko pracy, należycie obchodzone wszystkie święta socjalistycznego pochodzenia (1 maja, 8 marca), lewicowym kolektywom studenckim oddaje się całe przestrzenie na uniwersytetach (sama będąc studentką jednego z neapolitańskich uniwersytetów, najchętniej uczyłam się z przyjaciółmi w zeskłotowanych salach pełnych lewicowego graffiti i palestyńskich flag), respektowane i chętnie wykorzystywane prawo do strajku, a przede wszystkim – silne społeczne reakcje na istotne wydarzenia. Wystarczy przypomnieć sobie manifestacje, które miały miejsce po śmierci uczniów podczas obowiązkowych praktyk zawodowych (obowiązująca od 2015 r. *alternanza scuola lavoro* – to często źle nadzorowane i nieodpłatne praktyki zawodowe dla uczniów szkół średnich; w 2022 r. dwóch nastolatków zginęło podczas takich praktyk) czy po ataku bojówek neofaszystowskiej partii Forza Nuova na siedzibę związku zawodowego CGIL (atak miał miejsce w 2021 r. po tym, jak rząd Mario Draghiego zobowiązał obywateli do posiadania certyfikatu covidowego).

Wydarzenia z ubiegłego tygodnia nieco różniły się jednak od tych przytoczonych wyżej – a to dlatego, że nie dotyczyły sytuacji wewnętrznej Włoch. 22 września niemal całe Włochy stanęły w miejscu dla Palestyńczyków.

Inicjatywa związkowa

Głównym inicjatorem całego zrywu były – jak to często we Włoszech bywa – związki zawodowe, a przede wszystkim *sindacati di base*, co można przetłumaczyć jako związki podstawowe lub oddolne. To dość istotne, ponieważ te syndykaty – w przeciwieństwie do starych, często sięgających początku XX w. organizacji, takich jak FIOM – mają strukturę bardziej horyzontalną, ich działanie jest oddolne i często wychodzi poza kwestie stricte pracownicze. Są też bardziej radykalne i chętnie organizują strajki natury politycznej – antywojenne, antyrządowe – czego duże centrale takie jak np. CGIL (Confederazione Generale Italiana di Lavoro) raczej unikają. Nic więc dziwnego, że inicjatywa 24-godzinnego strajku generalnego wyszła właśnie od USB (Unione Sindacale di Base) oraz CUB (Confederazione Unitaria di Base). Do związkowców szybko przyłączyły się organizacje studenckie oraz inne ruchy społeczne, jak np. feministyczne Non Una Di Meno (Ani Jednej Więcej). Hasłem przewodnim strajku stało się *Blocchiamo tutto per Gaza* – „Zatrzymajmy wszystko dla Gazy".

Organizacja nie obyła się co prawda bez waśni – sceptyczne względem blokady były stare związki zawodowe, tradycyjnie niechętne zabieraniu głosu w kwestiach stricte politycznych i pozapracowniczych. CGIL – największa centrala związkowa we Włoszech i zarazem jedna ze starszych – odmówiła oficjalnego udziału w strajku (mimo że niektóre oddolne struktury związku i tak zdecydowały udać się na blokadę), co nie wpłynęło dobrze na jej wizerunek. Trudno się dziwić, bo swoim zachowaniem CGIL potwierdziła tak naprawdę wszystko, co nowe związki jej zarzucają: sekciarstwo, opieszałość i autoreferencyjność. Najpierw liderzy CGIL ogłosili strajk w podobnej formule, który miał odbyć się dzień wcześniej, następnie wykręcali się błędami komunikacyjnymi; ogólnie rzecz biorąc, była to klęska PR-owa. Sekretarz krajowa CGIL Lara Ghiglione została rekordowo wygwizdana podczas swojego ostatniego wystąpienia w Rzymie, a centralę związku zalały – jak podaje lewicowa gazeta „Il Manifesto" – tysiące maili, telefonów i listów z krytyką. Związek wniosków raczej nie wyciągnął, bo zamiast po prostu przyłączyć się do kolejnej akcji już zapowiedzianej przez USB, zaczął przebąkiwać coś o własnym strajku generalnym, jeśli tylko flotylla będzie atakowana bądź blokowana…

80 miast

Ile osób wzięło udział w blokadzie, trudno jednoznacznie stwierdzić. „Il Manifesto" nazwało strajk „historycznym dniem solidarności", przywołując 100 manifestacji i pikiet w całym kraju. Według szacunków związkowców wzięły w nich udział dziesiątki tysięcy ludzi. Media mainstreamowe, rzecz jasna, podały liczby dużo niższe i głównie krytykowały strajkujących za paraliż większości kraju – co tylko potwierdza fakt, iż protestujących nie mogło być kilku na krzyż. Wskutek pikiet i blokad w 80 włoskich miastach częściowo lub całkowicie stanął transport publiczny, kolej, opóźnieniu ulegały loty, do strajku przyłączyły się nawet całe szkoły. W Genui, Trieście czy Livorno zablokowano załadunki w portach, w tym transportów wojskowych i broni. W wielu miastach paraliż komunikacyjny trwał jeszcze kilka dni po zakończeniu strajku generalnego. Wśród postulatów strajkujących można wyróżnić przede wszystkim natychmiastowe zawieszenie dostaw broni dla Izraela, wsparcie dla niosącej pomoc humanitarną flotylli Sumud i nacisk na rząd Meloni, by zmienił stanowisko wobec wojny i – śladem Hiszpanii, Portugalii czy Luksemburga – uznał państwo palestyńskie.

Żeby nie było jednak tak pięknie, z formy nie wyszła włoska policja – według agencji ANSA w Mediolanie aresztowano ponad 10 osób, 60 policjantów zostało rannych na skutek przepychanek z protestującymi. Nie ma niestety dostępnych danych dotyczących rannych wśród protestujących oraz aresztowań w pozostałych miastach, jednak „La Repubblica" podaje, że w Bolonii policja zwinęła nawet osobę nieletnią. W Neapolu na dworcu centralnym Garibaldi również doszło do spięć między blokującymi a policją, a w miastach takich jak Bolonia, Wenecja czy Marghera – zwłaszcza przy blokadach portów – włoskie siły porządkowe sięgnęły po armatki wodne.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Co na to Meloni

Nikt chyba nie jest zdziwiony, że ani premier Meloni, ani wicepremier Salvini nie podeszli zbyt entuzjastycznie do paraliżu połowy kraju. Na swoim profilu na X Giorgia Meloni nazwała protestujących domorosłymi pacyfistami i surowo potępiła demolkę dworca w Mediolanie (jakoś nie mogę w sobie znaleźć współczucia wobec tego faszystowskiego gmachu, ale że wzniósł go tak bliski sercu Meloni Mussolini i na dodatek jest to jedyna względnie ładna rzecz w tym mieście – staram się ją zrozumieć). Premier oceniła też, że „przemoc i destrukcja nie mają nic wspólnego z solidarnością i nie zmienią ani na jotę życia ludzi w Strefie Gazy, za to będą mieć konsekwencje dla włoskich obywateli i skończą się pociągnięciem zadymiarzy do odpowiedzialności i zapłacenia za szkody".

Niespodziewana była jednak reakcja włoskiego rządu na atak izraelskich dronów na flotyllę Sumud w nocy z 23 na 24 września nieopodal Krety. Już 25 września Włochy wysłały fregatę dla ochrony obecnych na pokładzie włoskich obywateli

oraz zapowiedziały wysłanie kolejnego okrętu w celu eskortowania flotylli. Oczywiście minister obrony Guido Crosetto podkreślił, że misja ta miała charakter humanitarny, a nie prowokacyjny – należy jednak docenić fakt, że w przeciwieństwie do Polski państwo włoskie postanowiło zadbać o swoich obywateli.

Bardzo bym chciała, żeby Polacy nie bali się iść w ślady Włochów. W pięknym filmie Paola Sorrentino zatytułowanym „This Must Be the Place" pada zdanie, że trzeba wybrać przynajmniej jeden moment w życiu, kiedy nie należy się bać. Życzę nam wszystkim jako społeczeństwu obywatelskiemu, aby Strajk Kobiet w 2020 r. nie był jedynym takim momentem. Gniew jest o wiele silniejszy niż strach, a jeśli nie jesteście wkurwieni – nie uważacie wystarczająco.

ANTONINA STEFFEN

SŁOWO CZERWONE

Nikt nie chce

Zbrojeniowy interes kwitnie

Na froncie rosyjsko-ukraińskim ludzie giną masowo. Ta wojna nie mogłaby tyle trwać i być tak totalna, gdyby nie wsparcie Chin dla Rosji i USA oraz zbiorowego Zachodu dla Ukrainy. Im więcej śmiercionośnej broni i pieniędzy wpompowuje się w tę wojnę, tym więcej Ukraińców i Rosjan traci życie. Jest to nie tylko agresja Rosji i obrona ojczyzny w przypadku Ukraińców, ale starcie militarnych i geopolitycznych bloków. Przy czym postępy na froncie przypominają raczej pierwszą niż drugą wojnę światową; w walce o kilka wiosek giną tysiące ludzi. Trudno się więc dziwić, że tak wielu młodych i nie tylko młodych unika poboru. W bitwie o Bachmut średnia długość życia nowych rekrutów wynosiła pół godziny. Ale mimo braków kadrowych Ukraina wciąż się broni. Ci, którzy są przekonani, że Polska będzie następna, powinni być wdzięczni Ukraińcom, że wciąż skutecznie powstrzymują rosyjski rozpędzony walec wojenny.

Przerwanie tej rzezi, nawet za cenę utraty zajętych już przez Rosjan terytoriów, to opcja, którą coraz więcej Ukraińców uważa za dopuszczalną. Matki nie chcą już tracić synów, żony – mężów, siostry – braci. Znam Ukrainkę, która co miesiąc wysyła synowi tysiąc euro. Kiedy przychodzą go zwerbować do armii, dostają ów tysiąc i piszą w sprawozdaniu, że nie zastali go w domu.

Wartość ludzkiego życia na Ukrainie wzrosła. To świadczy, że jest ona już bliżej Zachodu. Z badań opinii wynika, że również większość Polaków w razie czego nie będzie się pchała na front.

To, czego zupełnie nie umiem zrozumieć, to że na rozkaz Rosjanie podrywają się z okopów i atakują pod gradem świszczących kul. Na śmierć. Owszem, wytłumaczono im, że jeśli Ukraina wejdzie do NATO, to zagrozi ich ojczyźnie. Chociaż na zdrowy rozum nie jest możliwe, żeby NATO zaatakowało Rosję, która jest mocarstwem nuklearnym. Nawet obrzydliwy reżim Kim Dzong Una może się nie obawiać zachodniej agresji, bo ma bombę i środki do jej przenoszenia.

Między zbiorowym Zachodem a globalnym Południem toczy się wojna na Ukrainie, ale także wojna handlowa. Po podboju globalnego Południa przez „białego człowieka" mamy do czynienia ze swoistą rekonkwistą gdzie naprzeciw NATO, UE i USA staje coraz silniej konsolidujący się BRICS. Jednym z instrumentów walki z potęgą USA i agresywną polityką taryfową Trumpa jest podkopywanie pozycji dolara jako waluty transakcji i rezerw. Chińczycy dostarczają nie tylko komponenty dla rosyjskiego przemysłu zbrojeniowego, ale też kupują ropę z Rosji, zapewniając w ten sposób środki na dalsze prowadzenie wojny. Trump przestał już finansować bezpośrednio ukraińską machinę wojenną i postanowił na tym konflikcie zarabiać. Wciąż dostarcza sprzęt wojenny, ale rachunek wystawia nie bankrutowi Ukrainie, tylko państwom Unii Europejskiej.

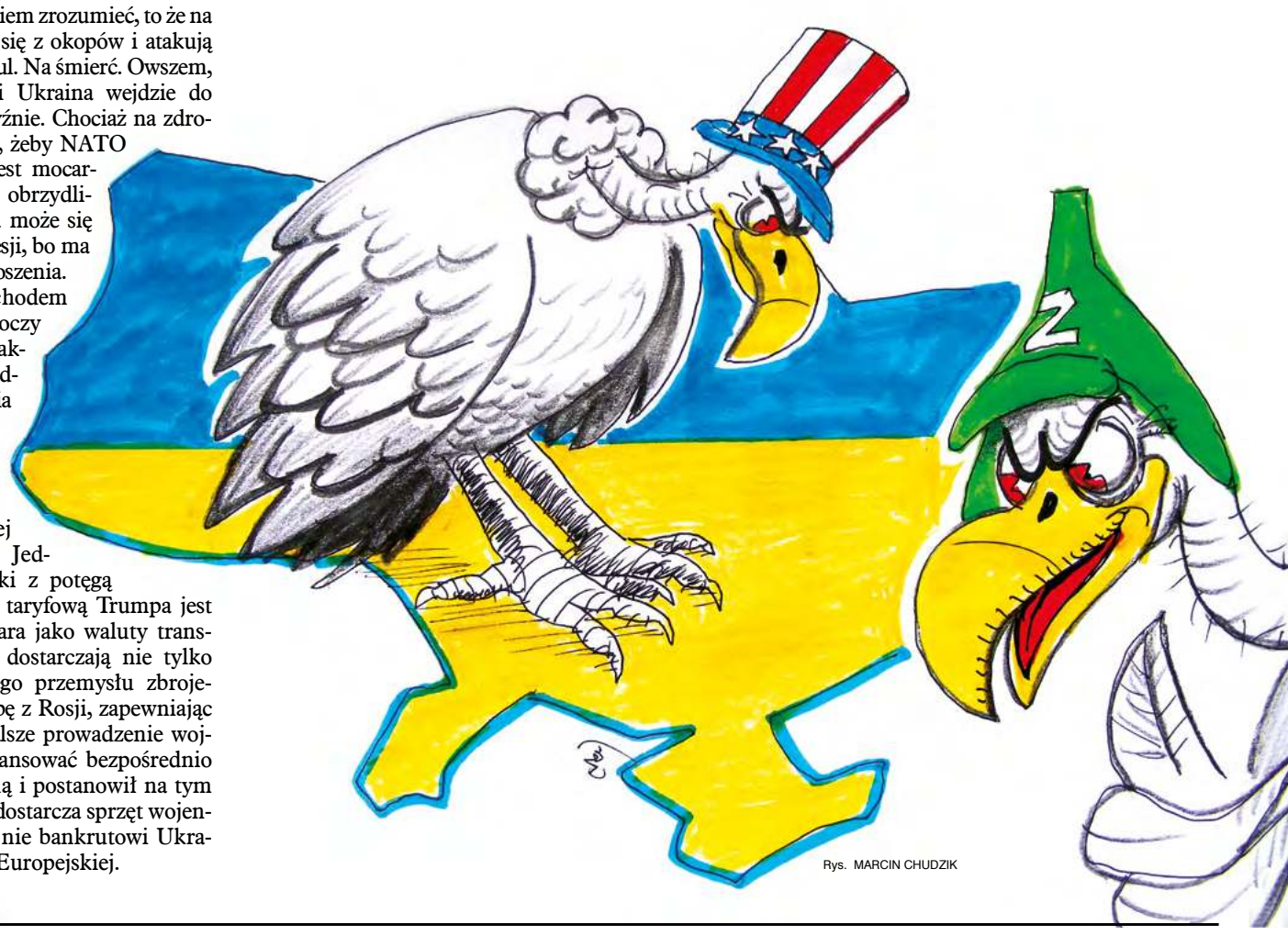

Rys. MARCIN CHUDZIK

eprasa.pl 296a5b9c7c

Amerykański gołąbek pokoju

Rozbiór Palestyny według Trumpa

Prezydent USA Donald Trump oraz premier Izraela Beniamin Netanjahu ogłosili porozumienie w sprawie 20-punktowego planu zakończenia wojny między Izraelem a Hamasem. Wbrew pozorom nie jest to dobra wiadomość dla Palestyny.

Donald Trump nie ustaje w wysiłkach, żeby kreować się na arbitra w międzynarodowych sporach. Podczas 80. sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ amerykański przywódca przypisał sobie sukces zakończenia siedmiu wojen od czasu objęcia drugiej kadencji w Białym Domu, po czym wytknął Organizacji Narodów Zjednoczonych, że nie kiwnęła pomocowym palcem w kierunku zneutralizowania konfliktów, skrytykował jej multilateralizm, ale na otarcie łez zapewnił członków o stuprocentowym wsparciu dla potencjalnych mediacji prowadzonych przez organizację. Na potwierdzenie swojej nieomylności i buty amerykański przywódca podczas rozmów wysokiego szczebla w siedzibie ONZ przedstawił krajom regionu i amerykańskim sprzymierzeńcom 21-punktowy plan armistycjum dla Strefy Gazy, którego ostateczny kształt oszlifowało spotkanie przywódcy USA z premierem Izraela w Białym Domu 29 września.

Kiedy sztuka podstępu Netanjahu spotyka teatr absurdu Trumpa, sprawy nie mogą iść w dobrym kierunku i wiele wskazuje na to, że tak też stało się tym razem. Plan jest raczej szkicem niż gotowym projektem porozumienia, miejscami bywa wewnętrznie sprzeczny i mało precyzyjny, ale jego lektura nie pozostawia złudzeń co do intencji autora.

Żywi, umarli i okupujący

Propozycja amerykańskiego gołębia pokoju przewiduje, że Izrael wycofa swoje siły do uzgodnionej linii po zaakceptowaniu planu, natomiast Hamas w ciągu 72 godzin od tego momentu uwolni wszystkich zakładników, zarówno żyjących, jak i tych bez pulsu. W zamian Izrael wypuści 250 więźniów z wyrokami dożywocia oraz 1,7 tys. mieszkańców Gazy, którzy zostali zatrzymani po 7 października 2023 r., w tym wszystkie kobiety i dzieci zatrzymane po ataku terrorystów.

Według organizacji praw człowieka takich jak HaMoked, Addameer i Palestinian Prisoners Club, Izrael w pierdlach, ośrodkach detencyjnych i obozach wojskowych przetrzymuje blisko 11 tys. palestyńskich więźniów, w tym ponad 400 dzieci i 8,4 tys. samych więźniów bezpieczeństwa, więc deal urywa dupę tylko pozornie. Żeby Palestyńczykom nie było smutno, za szczątki każdego izraelskiego zakładnika ludzie Bibiego wydadzą 15 sztywnych mieszkańców Gazy.

W przypadku braku entuzjazmu Hamasu na te warunki lub ich niespełnienia Izrael otrzyma pełne poparcie USA do wznowienia operacji militarnych w celu „dokończenia roboty", co każe wnioskować, że pole do negocjacji w kwestii pierdzących w izraelskie pasiaki jest raczej zawężone.

Zamrożenie linii frontu i zapowiedź ewentualnego ustalenia warunków pełnego wycofania się Izraelczyków to kupowanie kota w worku. Może bowiem zdarzyć się tak, że Izrael po capnięciu karty przetargowej w postaci zakładników i tak zostanie w Strefie Gazy.

Co prawda jeden z punktów wyklucza dalszą okupację i aneksję tych terenów, ale jednocześnie plan Trumpa dopuszcza stacjonowanie wojsk izraelskich w „strefie bezpieczeństwa", która będzie utrzymywana do czasu, aż Gaza będzie odpowiednio zabezpieczona przed ewentualnym odradzającym się zagrożeniem terrorystycznym, cokolwiek to znaczy i kiedykolwiek (o ile w ogóle w mniemaniu Izraela i USA) nastąpi.

Rozbrojenie dla uzbrojenia

Plan wymaga od Hamasu całkowitego rozbrojenia, zrzeczenia się kontroli nad Gazą oraz oferuje amnestię dla tych członków organizacji, którzy zobowiążą się do pokojowego współistnienia. Natomiast chętni do zmiany miejsca zamieszkania otrzymają bezpieczną możliwość wyjazdu do krajów przyjmujących.

Cała infrastruktura wojskowa, terrorystyczna i ofensywna – w tym tunele i zakłady produkcji broni – zostanie zniszczona. Proces demilitaryzacji Gazy zostanie przeprowadzony pod nadzorem niezależnych obserwatorów. Dla zapewnienia bezpieczeństwa utworzona zostałaby Międzynarodowa Siła Stabilizacyjna (ISF) z udziałem partnerów arabskich i międzynarodowych, która szkoliłaby zweryfikowane palestyńskie siły policyjne we współpracy z Jordanią i Egiptem.

W miarę jak ISF będzie zapewniać kontrolę i stabilność, izraelskie wojsko wycofa się zgodnie z harmonogramami związanymi z demilitaryzacją, które zostaną uzgodnione z ISF, gwarantami i USA – poza wspomnianą strefą bezpieczeństwa, której ram ewentualnego obszaru trudno szukać w dokumencie…

Na szczęście projekt przewiduje ustanowienie procesu dialogu międzyreligijnego opartego na wartościach tolerancji i pokojowego współistnienia dla zmiany nastawienia i narracji Palestyńczyków i Izraelczyków w imię korzyści płynących z pokoju, zatem z luf karabinów izraelskich żołnierzy będą wystawać kwiatki, a Palestyńczycy zamiast kamieniami, będą rzucać w byłego okupanta cukierkami.

Peacemaker-in-Chief

Zdecydowanym créme de la créme planu administracji Trumpa jest ustanowienie organu wykonującego władzę na terytorium Strefy Gazy. Z prasowych przecieków sprzed spotkania prezydenta USA i Netanjahu wynikało, że strefa będzie zarządzana przez tymczasowy, przejściowy rząd palestyńskich technokratów odpowiedzialnych za świadczenie codziennych usług Palestyńczykom. Komitet miał być nadzorowany przez nowy organ międzynarodowy powołany przez USA, wspierany przez ONZ i państwa Zatoki Perskiej. Na jego czele miał stanąć symbol inwazji na Irak z 2003 r., nazywany przez lokalsów zbrodniarzem wojennym i zwiastunem neokolonializmu były premier Wielkiej Brytanii sir Tony Blair. Plany uległy niewielkiej korekcie. Jak to ładnie ujął były członek parlamentu Wielkiej Brytanii George Galloway: „Gdy szatan jest zajęty, Blair jest oczywistym wyborem dla Trumpa i Netanjahu".

Rys. MARCIN CHUDZIK

Okazuje się, że może być gorzej. Nadzór i zarządzanie sprawować będzie nowy międzynarodowy organ przejściowy „Rada Pokoju", na którego czele stanie Donald Trump. Wspomagać go będzie wspomniany Blair, a pozostali członkowie zostaną ogłoszeni z czasem.

Organ określi ramy i zajmie się finansowaniem przebudowy Strefy Gazy do czasu, gdy Autonomia Palestyńska zakończy program reform narzuconych, tfu, zaproponowanych przez Trumpa i partnerów. Gaza ma zostać przebudowana z korzyścią dla jej mieszkańców. I jeśli wierzyć pozostałym etapom planu Trumpa, będą w niej brykały jednorożce pierdzące brokatem.

Na początek, po przyklepaniu umowy do strefy zacznie napływać pomoc humanitarna. Żeby na przeoranej bombami i trupami ziemi żyło się wygodnie, Trump i jego kumple planują zwołać panel ekspertów, którzy przyczynili się do powstania niektórych z kwitnących nowoczesnych miast-cudów na Bliskim Wschodzie celem przekształcenia enklawy w hub turystyczny, technologiczny i przemysłowy. Jak można przeczytać w planie: „Dopóki odbudowa Strefy Gazy będzie postępować, a program reform Autonomii Palestyńskiej będzie rzetelnie realizowany, mogą wreszcie powstać warunki dla wiarygodnej drogi do samostanowienia i państwowości Palestyny". O, słodka naiwności!

Gotowość na pozytywną współpracę z Waszyngtonem i zainteresowanymi stronami w celu sfinalizowania porozumienia Trumpa i zapewnienia jego wdrożenia niemal natychmiast zadeklarowały MSZ Arabii Saudyjskiej, Jordanii, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Egiptu i Kataru. Tort jest na stole, zatem kto pierwszy, ten lepszy.

Gówno w pazłotku

Wiewiórki donoszą, że pomysł Trumpa wywołał w ONZ mieszane i w dużej mierze sceptyczne uczucia. Organizacja, która od lat promuje rozwiązanie dwupaństwowe i międzynarodowe mechanizmy stabilizacji, widzi w propozycji brak gwarancji na trwały pokój oraz potencjalne naruszenia prawa międzynarodowego. Ruch Islamskiego Dżihadu stwierdził, że Izrael próbuje narzucić za pośrednictwem Stanów Zjednoczonych to, czego nie udało mu się osiągnąć wojną. Jak na ironię, obydwa ugrupowania mają rację.

Plan Trumpa przywodzi na myśl nowatorski pomysł zastosowania na skalę międzynarodową mechanizmu „dobrego policjanta" (USA) i „złego policjanta" (Izraela). Nie ulega wątpliwości, że Donald Trump i Benjamin Netanjahu w zaciszu Białego Domu zrobili sobie wzajemnie fellatio i ustalili strefę wpływów, grzebiąc wszelkie proniepodległościowe inspiracje Palestyńczyków na długie lata.

IDALIA DUBICKA

końca wojny

Zarabiając na wojnie, Trump stracił już zainteresowanie szybkim wygaszeniem konfliktu. Podobnie jak Chiny, które w sposób niedwuznaczny wypowiadają się za kontynuacją wojny.

Wojna na Ukrainie napędza wyścig zbrojeń, co powoduje rozrost i wzrost wpływów kompleksu wojskowo-przemysłowego. Nagle stało się ważne, jakie zapasy amunicji mają państwa NATO. Zwiększając arsenały i zdolności bojowe, świat zmierza do III wojny światowej.

Wybuchanie kolejnych konfliktów konwencjonalnych podważa bezpieczeństwo wcześniej oparte na równowadze strachu.

Ukraina jest miejscem, gdzie testuje się nowe rodzaje broni, zwłaszcza drony, które sprawiają, że konflikt coraz bardziej wygląda jak gwiezdne wojny. Rosjanie wysyłają drony i myśliwce wszędzie tam, gdzie mogą sobie na to pozwolić, żeby Europę przerazić i w ten sposób zmienić równowagę sił na swoją korzyść. Celem tych prowokacji może być zakończenie wojny na rosyjskich warunkach. Trump wzywa Europejczyków do zestrzeliwania rosyjskich samolotów, które naruszają przestrzeń powietrzną krajów unijnych. Zapewne rada jest słuszna, choć sprawia, że balansujemy na krawędzi wielkiej wojny.

Wzrostowi napięcia i towarzyszącego mu strachu towarzyszy wzrost nastrojów autorytarnych i sił, które za nic mają prawa człowieka. Atak Putina połączony z wędrówką ludów wywołał brunatną falę, która może rozbić europejski projekt. A siły antyunijne mogą liczyć na wsparcie nowego lokatora Białego Domu. Nie dziwi więc druga w krótkim czasie wizyta Karola Nawrockiego w USA.

Prezydent Donald Trump życzył ostatnio powodzenia zarówno Ukrainie, jak i Rosji. Brzmiało to jak: „pozabijajcie się" I zabijają się na wielką skalę codziennie. Zbrojeniowy interes kwitnie i żaden z głównych graczy nie ma interesu w tym, żeby tę rzeź zatrzymać.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 296a5b9c7c

Kościół zaczyna być jak przykładna parafianka – i chciałby, i boi się.

Prawda ich zuboży?

Aktywność narodu zaowocowała petycją obywatelską nr P11-89/25 przewidującą wprowadzenie w Polsce podatku kościelnego na wzór niemiecki. Wniesiona do senatu propozycja zakładała, że każdy, kto zadeklaruje przynależność do Kościoła lub związku wyznaniowego wpisanego w odpowiedni rejestr, będzie automatycznie obciążany dodatkowymi ośmioma procentami podatku dochodowego. A nie od brutto pensji – jak z upodobaniem i bez krzty prawdy rozpowiadały niektóre media – lecz od już należnego PIT-u. Pieniądze miałyby trafiać za pośrednictwem fiskusa na konta zadeklarowanych religii. Niewierzący – wolni. Wierzący – opodatkowani. Państwo – pośrednik, notariusz, komornik i kościelny ekonom zarazem.

Właściwie tak, ale...

W samym założeniu pomysł nie wydawał się szatański. Przeciwnie – cywilizacyjny. Przejrzystość, kontrola publiczna, likwidacja pozbawionej paragonu i rachunku finansowej mgły, która dziś otula śluby, pogrzeby, kolędę i tacę. Polska miałaby wejść do salonu fiskalnej przejrzystości, ale zanim otwarto drzwi, już zaczęły skrzypieć.

Pierwszym, który zaintonował pieśń oburzenia, był ksiądz profesor Andrzej Kobyliński, stały komentator spraw sumienia i rozumu. Zwrócił uwagę, że model niemiecki nie przystaje do realiów polskich, gdzie Kościół nie jest urzędnikiem, lecz powiernikiem, a przynależność religijna – nie tylko sprawą sumienia, ale również polityczną deklaracją. W Niemczech – przypomniał duchowny – podatek kościelny ma głęboko zakorzenioną historię: wyrósł z XIX-wiecznych rozliczeń za przejęcie majątków kościelnych przez państwo. Duchowni są tam częścią systemu administracji – ich pensje figurują w budżetach, ich status przypomina nauczycieli lub sędziów. Inaczej mówiąc, Kościół niemiecki gra w drużynie państwowej. W Polsce woli być rozgrywającym udającym niezależność.

Ksiądz profesor nie jest osamotniony w swojej krytyce. Eksperci finansowi podkreślają, że pomysł wprowadzenia ośmioprocentowego podatku na rzecz Kościołów i związków wyznaniowych, pobieranego automatycznie z wynagrodzeń obywateli, budzi poważne zastrzeżenia zarówno prawne, konstytucyjne, jak i społeczne. Choćby potencjalne naruszenie zasady dobrowolności wsparcia religii i konieczność ujawniania przekonań światopoglądowych, co naruszałoby prawo do prywatności.

Głos zabrała też Helsińska Fundacja Praw Człowieka, wskazując, że „nakładanie obowiązków podatkowych zależnych od wyznania może prowadzić do presji społecznej, piętnowania i wtórnej dyskryminacji mniejszości religijnych i osób niewierzących".

Mimo że petycja była jedynie zaproszeniem do dyskusji, a nie gotowym projektem ustawy, reakcje polityków i publicystów były gwałtowne. Lewica przyklasnęła – transparentność, rozdział Kościoła od państwa, modernizacja. PSL ustami swojego lidera i ministra obrony narodowej Władysława Kosiniaka-Kamysza przyklasnęło jeszcze bardziej – tyle że z innej strony. Nie jako sojusznik antyklerykałów, lecz jako rzecznik „nowoczesnego państwa wyznaniowego" – z odpisem 0,8 proc. podatku na Kościoły na wzór 1,5 proc. na organizacje pozarządowe. Pomysł zresztą nie nowy – już w czasach, gdy PSL rozdawał karty w Ministerstwie Pracy, przemycano go jako alternatywę dla Funduszu Kościelnego. PiS natomiast milczało. Biskupi wyciągnęli kalkulatory i czekali, bo koncepcja szefa MON dawałaby Kościołowi trzy razy tyle kasy, co dzisiejszy podatek kościelny. Nie bez przyczyny to właśnie Kosiniak-Kamysz przewodniczy rządowemu Zespołowi ds. Funduszu Kościelnego.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Nie będzie Niemiec...

W Niemczech działa Kirchensteuer, czyli podatek kościelny. Jest systemem zautomatyzowanym, przejrzystym i beznamiętnym jak niemiecki formularz. W zależności od landu – 8 lub 9 proc. od podatku dochodowego. Dla wyznawców katolicyzmu i protestantyzmu jest obowiązkowy. Chcesz płacić? Zaznacz odpowiednią rubrykę. Nie chcesz? Udaj się do sądu albo urzędu stanu cywilnego i złóż apostazję. Nie wystarczy przestać chodzić do kościoła. Musisz wypisać się formalnie. I tak co roku setki tysięcy Niemców wypisują się z wyznania, z Kościoła, z przynależności. W 2023 r. z niemieckiego Kościoła katolickiego wystąpiło 522 tys. osób, a z protestanckiego – 380 tys. W 2024 r. liczba katolików w Niemczech spadła do 19,8 mln. Protestantów zostało 18 mln. W sumie mniej niż połowa społeczeństwa.

Z danych Federalnego Urzędu Statystycznego wynika, że wpływy z podatku kościelnego w 2024 r. wyniosły łącznie 12,9 mld euro. Z czego Kościół katolicki uzyskał 6,9 mld, a ewangelicki – 6 mld. W niektórych diecezjach takich jak Monachium czy Kolonia roczne dochody przekraczają 500 mln euro. Pieniądze te przeznaczane są m.in. na pensje duchownych, działalność edukacyjną, charytatywną i inwestycje infrastrukturalne.

Polacy, którzy pracowali w Niemczech, uczyli się systemu błyskawicznie i masowo wypisywali się z katolicyzmu. Dawno temu grający w Bundeslidze Tomasz Hajto ściągnął na siebie gniew niemieckiego fiskusa: najpierw napisał mu, że jest niewierzący, a potem przeżegnał się na murawie. Nie pomogło tłumaczenie, że nie zrozumiał pytania. Konto zablokowano. Kara. 100 tys. marek zaległości plus 50 tys. za zatajenie. W niemieckim systemie nie ma „może" – jest „tak" albo „nie".

I ten system – brutalny w swojej uczciwości – windykuje równo. W przeliczeniu na jednego wiernego to kilkaset euro rocznie. Przykładowo: osoba zarabiająca 30 tys. euro rocznie, która odprowadza 3805 euro podatku dochodowego, płaci około 342 euro podatku kościelnego. To kwota zauważalna, ale też jasna. W Polsce nikt nie wie, ile płaci Kościołowi za katechetów, na składki i dziesiątki dotowanych przez państwo kościelnych przedsięwzięć. W Niemczech – *alles klar*.

Tylko pod krzyżem?

Tego właśnie obawia się polski Kościół. Nie pieniędzy. Nie podatku. Prawdy.

Bo system podatku kościelnego, jak sugeruje autor petycji, działa też jak papierek lakmusowy – pokazuje, ilu naprawdę wierzy. Ilu naprawdę należy. Ilu uważa Kościół za swój.

A ilu tylko idzie po opłatek, bo tak wypada. W Polsce, gdzie katolików – według GUS – jest ponad 33 mln, nowy system mógłby brutalnie obnażyć rzeczywistość. Wystarczyłoby, że 40 proc. wiernych by się wypisało i mapa religijna kraju zmieniłaby barwy.

Kościół katolicki w Polsce żyje dobrze. Z dobrowolnych datków, ślubów, pogrzebów, chrzcin – bez cennika, ale z niepisanym taryfikatorem. Do tego Fundusz Kościelny – niepozorny, lecz hojny. Na rok 2025 – 273 mln zł. W większości na składki ZUS dla duchownych. Do tego dochodzą dotacje celowe: na konserwację zabytków, na działalność charytatywną, na szpitale, na przedszkola. Z danych rządowych wynika, że w ciągu ostatnich trzech lat Kościół katolicki otrzymał 1,745 mld zł z budżetu państwa. To więcej niż niejedna agencja rządowa. I w przeciwieństwie do organizacji pozarządowych – bez konieczności rozpisywania konkursów.

Przy założeniu, że połowa z milionów podlegających fiskusowi katolików w Polsce płaciłaby podatek w zaproponowanej petycją wysokości, średnio 400 zł rocznie, wpływy wyniosłyby nawet kilka miliardów złotych. Dziesiątki razy więcej niż obecny Fundusz Kościelny. Nawet przy szacunkach że z katolicyzmu wypisze się połowa wiernych, Kościół zyskałby pieniądze większe niż budżet większości diecezji razem wziętych. Mógłby finansować uczelnie, fundacje, szpitale, media – z własnych pieniędzy, a nie z tych na tacę.

Ale to, co słychać od biskupów, przypomina gadkę ks. Kobylińskiego – są przeciw. Bo mimo iż państwo nominalnie dzięki podatkowi kościelnemu płaciłoby o wiele więcej niż teraz oraz wzięłoby na siebie koszty pobierania i kontrolowania tego podatku, to Kościół wolałby, żeby podatek nie wszedł w życie, bo statystycznie mogłoby się okazać, że katolicki król jest nagi.

TADEUSZ JASIŃSKI

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***Jeżeli szkoła będzie neutralna światopoglądowo, czyli nie będzie oparta o żaden światopogląd – w naszym wypadku światopogląd chrześcijański – to wejdzie tam światopogląd ulicy, wejdzie tam światopogląd potoczny, wejdzie tam chaos.*** *To jest skazywanie szkoły na chaos. Dziecko wychowywane w domu wedle wartości chrześcijańskich i wychowywane przez rodziców, w szkole może się spotkać z treściami, z którymi rodzice się po prostu nie zgadzają.* (…) ***Jeżeli przeciwne wartości będą w szkole, to szkoła idzie na wojnę z rodziną.***

prof. Andrzej Nalaskowski, Radio Maryja, 25 września

■ *Turcja robi wszystko, by najmniejsze ślady chrześcijaństwa były jeszcze bardziej umniejszone. Odprawić Mszę Świętą w takich miejscach jak Tars czy Efez to trud nad trudami.* ***Tymczasem Europa z otwartymi rękami wpuszcza islam. Przy tym ucisza dzwony i z radością zamienia kościoły w bary. Europo – jesteś głupia i chora na śmiertelną chorobę duszy.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 24 września

■ ***Z ideologią woke, LGBT, etc. nie ma co polemizować. Etap szukania dialogu już za nami. Wyśmiewanie nas jako rozmówców, szydzenie z wartości, mijanie się przez nich z rozumem, logiką, biologią…*** *Ta ideologia uczyniła w naszych bliźnich duchowe i naukowe spustoszenie.* ***Brońmy innych, a o ukąszonych tą niebezpieczną ideologią walczmy na tyle, ile się da.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 23 września

■ *Osobiście uważam, że zło można zwyciężać dobrem i staram się to robić poprzez propagowanie w środowisku kibicowskim pozytywnych inicjatyw.* ***Jedną z nich jest właśnie pielgrzymka na Jasną Górę, która gromadzi kibiców wokół wspólnych wartości. To jest niezwykłe doświadczenie, z którego wiele mogliby się nauczyć chociażby politycy. Bo można się nie zgadzać, ale powinny być pewne wartości i wyzwania ważne dla wszystkich Polaków, obojętnie po której stronie sporu politycznego stoją.***

ks. Jarosław Wąsowicz, PAP, 26 września

Rys. OBYWATEL JANEK

■ *Doświadczamy prawdziwej miłości, radości i wolności wewnętrznej. A przecież jest to najgłębsze pragnienie człowieka. Jeśli ktoś nie idzie za tym pragnieniem, wtedy doświadcza beznadziei, pustki duchowej i łatwo wpada w rozpacz.* (…) ***Dlatego tak ważne jest, abyśmy zawsze mieli mocną więź z Bogiem. W tym duchu wychowujmy dzieci i młodzież. Nie pozwólmy, aby zmarnowali swoje życie, zrywając więź z Bogiem, odrzucając Jego przykazania, wchodząc w różne uzależnienia.***

ks. bp Tadeusz Bronakowski, Radio Maryja, 19 września

■ *Konsekwencją wprowadzenia tzw. związków partnerskich i redefinicji małżeństwa jest wyraźne ograniczenie wolności i praw obywatelskich.* (…) ***Jest to uderzenie w wolność sumienia i religii, wolność słowa i działalności gospodarczej czy wychowywania dzieci według własnych przekonań.***

mec. Rafał Dorosiński, Instytut Ordo Iuris, TV Trwam, 18 września

■ *Obecny stan prawny wraz z atakiem na zjawisko religijności, zniechęcaniem do uczęszczania na lekcje religii prowadzi do wykształcenia pokolenia nihilistów:* ***osób niezakorzenionych w wartościach etycznych, wartościach filozoficznych, a także w wartościach religijnych, które przez wieki kształtowały polską tożsamość kulturową, ale też które przez wieki zostały zaakceptowane przez społeczeństwo i cały czas w nim trwają.***

dr Łukasz Bernaciński, Instytut Ordo Iuris, Opoka.org.pl, 26 września

KLECHA

REKLAMA

eprasa.pl 296a5b9c7c

A wszystko przez te praktyki

Będzie o tym, w jaki sposób moje teksty znalazły się na przedostatniej stronie tygodnika „NIE”.

Żeby odpowiedzieć w jaki sposób trafiłem do redakcji „NIE” i wspólnie z nią mogę świętować 35-lecie powstania tygodnika, wrócić muszę do dawnych historycznych wydarzeń. 8 marca 1968 r. studenci wzniecili protesty przeciw władzy ludowej PRL. Zamieszki i strajki, znane w historii jako wydarzenia marcowe, prędko spacyfikowano, ale rykoszetem odbiło się to na moim roczniku uczęszczającym do klasy maturalnej. Po zdaniu na studia czekała na nas niespodzianka: praktyki robotnicze.

Małgosia Daniszewska została studentką prawa, a ja – polonistyki. Partia, która na każdym kroku podkreślała swój szacunek dla mas, postanowiła, że zanim zaczniemy kształcić swoje umysły na wyższych uczelniach, powinniśmy zasmakować pracy fizycznej podczas wspomnianych praktyk robotniczych. Być może po nich odechciałoby się nam w przyszłości wzniecać burdy i niepokoje.

Praktykanci

W ten sposób Małgosia i ja wylądowaliśmy w państwowym gospodarstwie rolnym gdzieś na Mazurach. Tam jednak po raz pierwszy usłyszano o jakichś praktykach robotniczych i nie wiedziano, co z nami zrobić. Trwało to dwa dni i dwie noce, które spędzaliśmy stłoczeni w stodole, a spaliśmy na wypełnionych słomą siennikach. Karmiono nas głównie kartoflami. Też dobra szkoła życia.

Wreszcie przyjechał ważny towarzysz z województwa, opierdolił kierownictwo PGR za lekceważenie ogólnopolskiej akcji zawierania sojuszu studencko-robotniczego, a nas skierował do Działdowa, gdzie pod kierunkiem tamtejszego aktywu mieliśmy pomagać w budowie bocznicy kolejowej.

W grupie studentek i studentów przerzucanych z mazurskiego PGR do Działdowa była nieznana mi wcześniej (w ogóle wszyscy widzieliśmy się po raz pierwszy) atrakcyjna i urocza kandydatka na prawniczkę Małgosia Daniszewska. Jakoś od razu (jeszcze w podolsztyńskim PGR) przypadliśmy sobie do gustu, bo w odróżnieniu od innych praktykantów nie złorzeczyliśmy na los, który pchnął nas do fizycznego wysiłku i zabrał kawałek wakacji, ale do wszystkiego podchodziliśmy z humorem i na pełnym luzie.

Praca na bocznicy kolejowej w Działdowie bardziej przypominała zabawę, zwłaszcza że skierowano do niej także grupę młodych przestępców, którzy akurat dzięki amnestii opuścili zakłady karne. Dacie wiarę? Świetnie się z nimi dogadywaliśmy i w efekcie po zakończeniu praktyk byliśmy nie tylko zintegrowani z klasą robotniczą, ale także ze środowiskiem przestępczym; poznaliśmy slang więzienny i nauczyliśmy się grypsery. Mnie to akurat nie było potrzebne do szczęścia, ale przyszła prawniczka z pewnością na tym skorzystała.

W każdym razie zaprzyjaźniłem się z przyszłą żoną Jerzego Urbana i późniejszą właścicielką naszego tygodnia. Przyjaźń ta przetrwała (z pewnymi przerwami) aż do Jej śmierci. Wydziały prawa i polonistyki sąsiadowały ze sobą w uniwersyteckim kampusie, razem łaziliśmy na herbatę do Harendy albo na piwko do słynnego Rączki, podłego lokaliku prowadzonego przez osobę niepełnosprawną w pobliżu uniwersytetu. Często towarzyszył nam Mikołaj Mieciński, mój kolega z klasy w ogólniaku, a późniejszy mąż Małgosi i ojciec Marty, dzisiejszej pani prezes naszego wydawnictwa.

Za stary na „Sztandar Młodych”

Ja od dziecka chciałem być dziennikarzem i to sportowym, sam trochę trenowałem piłkę ręczną, Małgosi natomiast nie ciągnęło do kodeksów i korytarzy sądowych, choć była córką słynnego białostockiego adwokata. Udało mi się zaczepić w „Przeglądzie Sportowym”, Małgosia popracowała trochę w korekcie „Trybuny Ludu” (tu się minęliśmy, bo ja do działu sportowego tej gazety trafiłem później), redagowała wielce udatnie teksty w „Teleexpresie”, pracowała także w bardzo znanym tygodniku „Sportowiec”, byliśmy więc poniekąd kolegami po fachu. Czytałem jej teksty i podziwiałem. Małgosia ni czorta nie znała się na sporcie, jej reportaże, zwłaszcza z zawodów łyżwiarstwa figurowego, tchnęły świeżością – widziała to, czego my, rutyniarze, nie potrafiliśmy dostrzec.

Pewnym szokiem była dla nas wiadomość, że po rozwodzie z pierwszym mężem Małgosia wyszła za mąż za Jerzego Urbana, znanego z jadowitego dowcipu rzecznika rządu gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Nie był on bohaterem naszych pieśni, choć wszyscy, nawet zaciekli adwersarze, podziwiali jego inteligencję i sposób, w jaki potrafił wywinąć się spod ognia najtrudniejszych pytań podczas konferencji prasowych. Konferencje te, na polecenie Urbana niecenzurowane i puszczane w TVP w całości, stały się jednym z najchętniej oglądanych programów, a także zapewniły rzecznikowi popularność, która dzięki założonemu przez niego tygodnikowi „NIE” trwa do dzisiaj.

Zmiana ustroju przewróciła życie wielu ludzi. Jeśli chodzi o mnie, to w tym epokowym momencie pracowałem jako redaktor działu sportowego dziennika „Sztandar Młodych” (sam już taki młody nie byłem) i rozumiałem, że przyszłości wielkiej tam nie mam. Wymyśliłem i zrobiłem kolorowy miesięcznik „Sukces”, który błyskawicznie podbił rynek prasowy. Jerzy Urban po krótkim okresie depresji – jak opowiadała mi Małgosia – wypuścił tygodnik „NIE” skierowany w pierwszym okresie do grupy ludzi rozczarowanych przemianami w Polsce, negowaniem dorobku PRL i uleganiem we wszystkim klerowi. Poczytność pisma była zaskakująco ogromna i przynosiła jego wydawcy profity.

Śledź z piernikiem

W tym czasie moje kontakty z państwem Urbanami stały się bliższe. Jako znani wydawcy spotykaliśmy się, wymienialiśmy doświadczeniami, zapraszany byłem także na słynne przyjęcia do ich willi w Konstancinie. Zaimponowało mi, że rzecznik rządu Jaruzelskiego, redaktor naczelny niesamowicie popularnego czasopisma i osoba powszechnie rozpoznawalna, zaproponował, żebyśmy mówili sobie po imieniu.

Nie będę tu szczegółowo relacjonować mojego życiorysu, w każdym razie, gdy znalazłem się na zakręcie, pomocną dłoń podała mi Małgosia, która zatrudniła mnie w swoim wydawnictwie Daniszewska i Córka. To nie tylko pozwoliło mi znów stanąć na nogi, ale całkowicie zmieniło życie. Dzięki pracy w kierowanym przez nią miesięczniku „Art&Business”, poświęconym rynkowi sztuki, poznałem moją przyszłą żonę, sporo młodszą ode mnie Rosjankę Swietłanę, podówczas doktorantkę w Instytucie Historii Sztuki UW – tego samego uniwersytetu, który kończyliśmy z Małgosią. Swietłana przynosiła do redakcji bardzo ciekawe napisane (jak sądziła) po polsku artykuły, ja je tłumaczyłem na polski i publikowałem ku zadowoleniu wszystkich.

Od słowa do słowa, od proszę pani i panie redaktorze, do Swietko i Wojtku, zaiskrzyło między nami i staliśmy się parą. Później Swietka rzuciła studia doktoranckie, ale nie rzuciła mnie i jesteśmy w szczęśliwym związku małżeńskim już 17 lat.

Wraz z moim kotem Emilem przeniosłem się do St. Petersburga. Pisałem stamtąd korespondencje do lewicowej prasy, głównie do „Trybuny”, ale także do „NIE”. Nie były to sportowe reportaże, ale relacje o tym, jak żyje się w Rosji (w tym czasie całkiem dobrze), różne ciekawostki i wrażenia nie tylko z Petersburga, ale z różnych miejsc, bo podróżowałem nieco po zakątkach tego ogromnego kraju. Z żoną często jeździliśmy do Finlandii (rzut beretem od Petersburga) i opisywałem też ten kraj.

Co pół roku musiałem przyjechać do Polski odnowić rosyjską wizę, zawsze spotykałem się wówczas z troszkę przypadkową, ale jednak swatką Małgosią oraz z Jurkiem. Najczęściej zapraszali mnie na obiad do willi w Konstancinie. Tu warto wspomnieć, że Małgosia była cudowną gospodynią i wyborną kucharką, a smak jej tatara ze śledzia z piernikiem mam na podniebieniu do dzisiaj.

Swietka, która czasem wpadała na obiad ze mną, tak zagustowała w tatarze ze śledzia, że postanowiła sama przyrządzać go w domu, z różnym skutkiem – powiedzmy od razu. Prawdopodobnie winę ponosi za to piernik, po który Małgosia specjalnie jeździła do mamy do Białegostoku, a Swietka kupowała w spożywczym. Umiejętności kulinarnych żony nie ośmieliłbym się krytykować, bo jest bardzo czuła na tym punkcie.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Sport + Wojtek = Sportek

Podczas jednego z takich obiadów w Konstancinie doszło do rozmowy, której skutki odczuwają Czytelnicy „NIE” do dzisiaj.

Jerzy Urban wręcz chorobliwie nienawidził sportu, może tylko troszeczkę mniej niż kleru i zaślepionych nienawiścią prawicowców. Dlaczego? Nie mam pojęcia. Pozostanie to zagadką, której nie rozwiązał dotychczas żaden z jego licznych biografów.

Gdzieś tak między tatarem ze śledzia a nereczką cielęcą zwróciłem uwagę, że żaden naczelny nie powinien, redagując gazetę, kierować się wyłącznie swoim gustem i swoimi uprzedzeniami, bo jego obowiązkiem jest zaspakajanie potrzeb Czytelników.

– Gdyby – perorowałem – naczelny wydawał gazetę dla swoich potrzeb, mógłby ją wydawać w jednym egzemplarzu. Ludzie interesują się sportem. Gdyby tak nie było, żadna gazeta nie prowadziłaby rubryki sportowej, a relacje ze stadionów nie zajmowały czasu podczas programów informacyjnych w telewizji. Pokaż mi – coraz bardziej się zapalałem – choć jedną gazetę, która ignoruje sport tak jak ty w swojej…

Oczywiście, że byłem przemądrzały, dawno już minął czas, gdy redagowałem czasopisma, większość z nich po chwilowym sukcesie zakończyła swój żywot, ale chyba jakaś racja w tym, co mówiłem, musiała być. Jurek był mądrym człowiekiem. Pomyślał chwilę i stwierdził:

– Przez lata byłeś dziennikarzem sportowym i znasz się na tym. Napisz jakiś kawałek dla nas, byle nie za długi. Zobaczymy, co z tego będzie.

No i tak się to zaczęło. Napisałem coś na pół stroniczki w gazecie, bijcie, zabijcie, nie pamiętam, o czym. Efekt był zaskakujący nie tyle dla mnie (bo – to akurat pamiętam – sam nie byłem zachwycony tekstem), ile głównie dla redaktora naczelnego. Czytelnicy pisali, że nareszcie ta tematyka pojawiła się w „NIE” i nie były to pojedyncze głosy.

Stanęło na tym, że od czasu do czasu napiszę sportowy kawałek. Tak też się stało, ale Czytelnicy domagali się, żebym ja albo ktoś inny częściej pisał o sporcie, więc zamawiano u mnie tekst do każdego numeru. Później dostałem swoje miejsce na przedostatniej stronie, a nazwę rubryki „Sportek” wymyśliła Małgosia Daniszewska z połączenia słów „Sport” i „Wojtek”. W ogóle Małgosia miała dar do wymyślania tytułów – wiedziałem o tym, bo pracowałem w wydawnictwie Daniszewska i Córka i akurat do układania tytułów ja nigdy nie miałem melodii.

Jerzy Urban czytał (i poprawiał) każdy tekst, jaki pojawiał się w „NIE”. Często je odrzucał, gdy nie był z nich zadowolony. Było mi trochę przykro, że zmuszam szefa do lektury tematyki, której nie znosił i kompletnie nie znał, ale co zrobić – Czytelnik nasz pan. Po śmierci Jurka właścicielką została Małgosia Daniszewska, z nią miałem już łatwiej jako z byłą dziennikarką „Sportowca”. Naczelnym po śmierci Urbana został Waldek Kuchanny, miłośnik sportu na poziomie przeciętnego, ale dobrze znającego się na tematyce polskiego kibica. Też było OK.

Trafne diagnozy

Obecna redaktorka naczelna Agnieszka Wołk-Łaniewska jest fanką snookera i sama (często pod okiem instruktora, czym mi zaimponowała) wbija na zielonym suknie bile do kieszeni. Ugłaskałem ją tekstami o jej ulubionej dyscyplinie, a zwłaszcza o idolu – siedmiokrotnym mistrzu świata Angliku Ronniem O’Sullivanie.

Pisanie o sporcie do „NIE” nie jest takim prostym zajęciem, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Nie mogę przecież relacjonować zawodów. Ludzie interesujący się sportem na żywo oglądali je w telewizji, a nawet jeśli nie widzieli, przeczytali o nich w internecie. Swoje robi też cykl produkcyjny tygodnika. Gdybym relacjonował mecz, w kiosku sprawozdanie ukazałoby się kilka dni później.

Pomagają mi kontakty z kolegami dziennikarzami sportowymi, którzy na szczęście nie zapominają o mnie. Klub Dziennikarzy Sportowych przysyła mi pocztą aktualną legitymację, mogę się więc nadal czuć jednym z nich. Telefonujemy do siebie, dzięki temu mniej więcej wiem, co się dzieje.

Zawsze się cieszę, gdy udaje mi się postawić jakąś trafną diagnozę. Tak było w przypadku kolarskich mistrzostw świata w stolicy Rwandy Kigali. Polski Związek Kolarski postanowił nie wysyłać do Afryki męskiej reprezentacji seniorów, a postawić na młodzież. Na prezesa PZKol Marka Leśniewskiego, świetnego kolarza za moich dziennikarskich czasów, zewsząd posypała się krytyka. Ja na łamach „NIE” próbowałem go bronić. Okazało się, że Leśniewski miał rację, bo mamy całkiem fajną młodzież. Jan Jackowiak zdobył brązowy medal w wyścigu juniorów, pierwszy taki w historii naszego kolarstwa. Inne kolarki i inni kolarze także dzielnie walczyli, przyjemnie było na to patrzeć. Może więc kolarstwo, przy którym spędziłem najwięcej czasu, relacjonując wyścigi, wcale nie jest takie słabe, jak myśleli kibice oraz wielu komentatorów, i jakieś szanse na przyszłość się rysują.

Gdy dzięki Małgosi, Jurkowi, a przede wszystkim Czytelnikom tygodnika „NIE” wróciłem do mojego pierwszego zawodu, w którym spędziłem najlepsze lata życia, chodziłem jeszcze na imprezy. Teraz neurologiczna przypadłość jeszcze nie przykuła mnie do wózka, choć mam to w perspektywie, ale sport oglądam właściwie tylko w telewizji. Trzymam się go pazurami, bo niepełnosprawnemu emerytowi daje poczucie, że jest jeszcze komuś potrzebny. Dopinguje mnie w tym poznana dzięki Małgosi opiekuńcza żona Swietłana, z którą na stałe zamieszkaliśmy w Polsce.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 1.10.2025 r.

eprasa.pl 296a5b9c7c

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Szymon Hołownia ogłosił, że ubiega się o posadę wysokiego komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw uchodźców.

Oto lista stanowisk, które Hołownia mógłby objąć, gdyby komisarzem do spraw uchodźców nie został:

- sekretarz sekretarza generalnego Unii Europejskich Związków Piłkarskich (UEFA),
- prezes Myślenickiego Klubu Pétanque,
- dyrektor organizacyjny Mistrzostw Polski w Pływaniu na Byle Czym,
- zastępca członka rzeczywistego Związku Miłośników Warcabów Heksagonalnych w Roussillon (Francja),
- honorowy trener Światowego Związku Boksu Syjamskiego,
- prezes Farerskiej Unii Kolarskiej, sekcja monocykli elektrycznych,
- przewodniczący Północnoafrykańskiego Związku Hodowców Gwarków Czczonych,
- wielki koniuszy Stowarzyszenia Hodowców Koni Wyścigowych w Bahrajnie,
- mały koniuszy Stowarzyszenia Hodowców Koni Pociągowych w Bahrajnie,
- członek rzeczywisty i pełnomocny Królewskiego Stowarzyszenia Gołębi Pocztowych,
- przewodniczący Polskiego Stowarzyszenia Hodowców Olbrzymich Warzyw,
- prezes Albańskiego Stowarzyszenia Filatelistów,
- honorowy pilot Walijskiego Stowarzyszenia Pilotów Wycieczek,
- honorowy pilot Hiszpańskiego Stowarzyszenia Pilotów Wycieczek, oddział w Walencji,
- wiceprezes Światowego Klubu Kolekcjonerów Pilotów Telewizyjnych,
- spiker izby wyższej parlamentu San Escobar,
- wicekról Cesarstwa Nibylandii,
- drugi sekretarz Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec Niemieckiej Republiki Demokratycznej,
- wiceprezes Międzynarodowej Unii Zbieraczy Skał Osadowych,
- prezes Stowarzyszenia Budowniczych Latawców Skrzynkowych,
- wiceprezes Stowarzyszenia Budowniczych Latawców Płaskich bez Ogonów,
- zastępca wiceprezesa Stowarzyszenia Budowniczych Latawców Płaskich z Ogonami,
- biskup Kościoła Wyznawców Zachodzącego Słońca, diecezja w Sewilli,
- mały mistrz Suwerennego Rycerskiego Zakonu Szpitalników Świętego Scypiona,
- dyrektor wykonawczy wydziału grobów głębokich i średnio głębokich Światowej Izby Przedsiębiorców Branży Funeralnej i Pogrzebowej.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA wspomina mamusię. **JOANNA SENYSZYN** też, choć to nie jej mamusia.

Senyszyn: – Jaką znowu mamusię wspominasz? Przecież swoją widujesz codziennie…

Wołk-Łaniewska: – Mamusię redakcyjną. A także mamusię „Dialogów".

– Małgosię, znaczy?

– Tak. W tym tygodniu przypadają trzy nasze redakcyjne rocznice: jedna radosna i dwie bardzo smutne. Trzy lata temu umarł Urban. A dwa lata temu – Daniszewska.

– A 35 lat temu urodził się tygodnik „NIE". Tak dopowiadam, bo zaczęłaś od smutnych.

– Nasz pierwszy numer wyszedł 4 października 1990 r. Mnie przy tym nie było, bo przyszłam tu dopiero w roku 2000, więc ominęła mnie zajebista dekada.

– No, ale na świat przyszłaś wcześniej, miałaś już wtedy 18 lat, „NIE" mogłaś czytać od początku. To było olśnienie, że tak można robić tygodnik. Wprawdzie w PRL były „Szpilki", a i Urban dużo pisał pod różnymi pseudonimami, ale była polityczna, obyczajowa i językowa cenzura. Dopiero „NIE" zerwało kajdany i połamało bat na rządzących solidaruchach. W dodatku w słowach spod budki z piwem, co akurat tobie zostało do dziś.

– O przepraszam, mięsem rzucam od małego, Urban nie musiał mnie uczyć.

– W każdym razie przegrana reelekcja Wałęsy w 1995 r. w dużej mierze była skutkiem prześmiewczej stałej rubryki: „Pan prezydęt powiedział", która docierała co tydzień do kilku milionów wyborców.

– Nie przesadzasz z milionami?

– Bynajmniej. Przecież każdy numer czytało kilka osób. Ekonomia, głupcze!

– Może i masz rację, nawet Mleczko zrobił o tym rysunek. Pani mówi do pana przed kioskiem: „Nie kupuj tego świństwa! Pożyczymy od sąsiadów".

– No widzisz.

– Trochę mi szkoda, że mnie to ominęło. Ale za to robiłam w innych lewicowych tytułach, w „Wiadomościach Kulturalnych", „Przeglądzie Tygodniowym" i „Trybunie", co dało mi wyjątkowy zestaw szefów. Moimi naczelnymi byli po kolei: Krzysztof Teodor Toeplitz, Mieczysław Rakowski, Janusz Rolicki i Jerzy Urban.

– To ty jesteś jak ta Rachela z dowcipu o umierającym mężu. – Pamiętasz pogrom w Brodach? – No pewnie, przecież byłam z tobą… – A getto pamiętasz? – No przecież razem byliśmy! – A Oświęcim? – Icek, byłam tam z tobą. I w Kielcach w 46, i razem żeśmy wyjeżdżali w 68… – No właśnie, Rachelo, ty mi przynosisz pecha… Wszyscy twoi wielcy naczelni nie żyją.

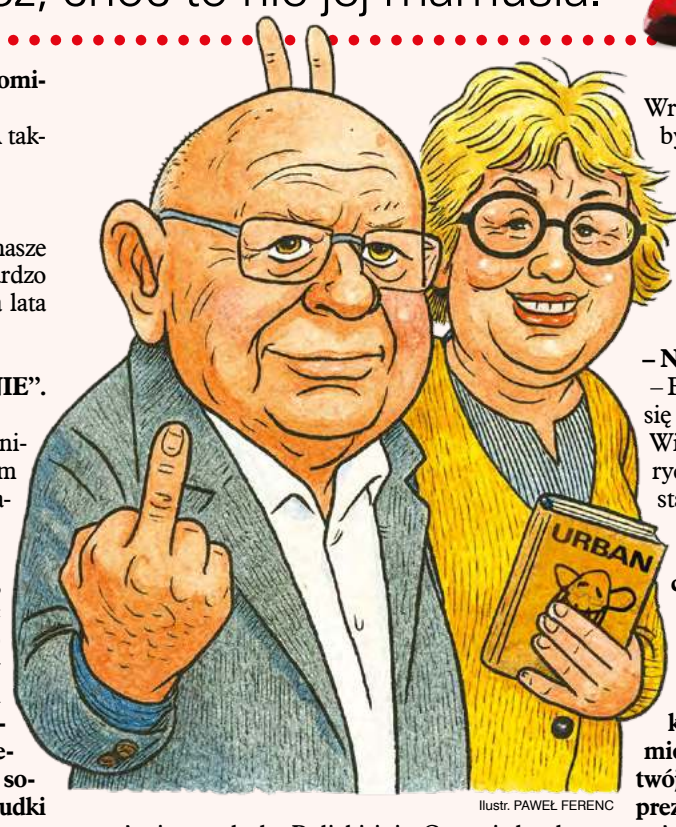

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– A nieprawda, bo Rolicki żyje. Co mnie bardzo cieszy, bo to szef były, ale rodzina aktualna, a rodziny też mi już za dużo nie zostało. Matka Janusza, która zginęła w powstaniu, była rodzoną siostrą mojego dziadka, który zginął w Katyniu….

– Rodzinie też szczęścia nie przynosisz…

– Tobie przyniosłam, bo mamy razem taką fajną rubrykę.

– To raczej Daniszewska nam przyniosła.

– To prawda. Ona to wymyśliła, zresztą jako tekst do numeru bożonarodzeniowego, w – uwaga – 2011 r. Przeczytałam sobie ten pierwszy dialog ostatnio i bardzo mnie wzruszyła wymiana myśli o dziwkarzach.

– A miałyście coś przeciwko dziwkarzom?

– A skąd, ja mówiłam, że ich uwielbiam, bo są nieskomplikowani w romansowaniu i nie powodują komplikacji w życiu kobiety. Bo wtedy byłam jeszcze kobietą otwartą na romansowanie, ale już nie na komplikacje. A Małgosia mi powiedziała, żebym korzystała, bo przychodzi taki moment, że dziwkarze patrzą na ciebie z zachwytem i mówią: „Boże, jaki pani ma piękny samochód!"…

– Proroczo.

– Niekoniecznie. Jeżdżę Saabem z 2006 r., tylko prawdziwi koneserzy antyków potrafią docenić jego piękno. Acz raz, na zlocie ateistów, pan z pobliskiego baru dał mi cały kubek lodu za darmo, jak zobaczył, że podjechałam saabem. A upał był jak cholera. My, saabiarze, trzymamy się razem.

Wracając do pierwszych dialogów: rozmowa była głównie o dymaniu, zdradach i wierności, a także o tym, jak Urban raz zachlał mordę i wylądował w Victorii z kurwą, która mu ukradła majki. Bardzo elegancka rozmowa, więc Urban wymyślił tytuł: „Dialogi dam w drodze do kościoła". I tak zostało na 12 lat.

– No właśnie, a dlaczego się zmieniło?

– Bo jak Małgosia umarła, to jakoś nie umiałam się z nią pożegnać i pisałam dialogi z duchem. Więc tytuł się zmienił na „Dialogi dam, z których jedna jest duchem". A potem duch przestał mnie nawiedzać…

– I wtedy przyszłam ja, całkiem nieuduchowiona.

– I stąd tytuł: „Dialogi dam, z których obie żyją".

– Wracając do Urbana: znalazłam kilka cytatów z wczesnego „NIE", które będą miodem na twoje komusze serce i wodą na twój socjalistyczny młyn. Potraktuj to jako prezent urodzinowy.

– A dziękuję serdecznie. Dawaj.

– Na przykład o „ulubionej klasie średniej".

– Ulubionej przez kogo?

– Przez „kierownicze siły polityczne" nowego ustroju. Kwiecień 1991: „Jeżeli cokolwiek jest średnie, oznacza to, że istnieje coś powyżej i również poniżej. Choćby bardzo liczna się stała pobudzana do życia klasa średnia, to w kraju tak ubogim jak Polska liczniejsza musi być warstwa niższa. Który z polityków mówi, który z publicystów pisze o większości narodu i sprawach tej warstwy? O tym, że za pewien czas zostanie zamknięta w swoich trudno przekraczalnych granicach? I o tym, że owo upośledzenie stanie się na ogół dziedziczne tak jak bogactwo? Kto z rządzących przyzna, że oto historyczną repliką na powojenny proces awansu społecznego większości będzie teraz masowa deklasacja? Nikt!".

– Zobacz, 35 lat minęło i nic się nie zmieniło. W całym tym rządzie nikt – poza Dziemianowicz-Bąk, co należy jej uczciwie oddać – nie używa słowa „pracownicy". Wszyscy inni pitolą o piciembiorcach...

– O kim, przepraszam?

– Oj, tak moja lewacka bańka facebookowa nazywa przedsiębiorców. Moim zdaniem bardzo trafnie, bo oni wszyscy takie biedactwa, co potrzebują opieki, bo krzywda im się dzieje straszna bez przerwy, kukusiu piciusiu… To żałosne. A tak à propos: czytam ostatnio książkę Richarda Slotkina o amerykańskich mitach założycielskich…

– I jak to jest à propos?

– Trafiłam tam na cytat z wystąpienia Abrahama Lincolna przed Kongresem z 3 grudnia 1861 r. Czyli z początków wojny secesyjnej. Mówił on, że pojawia się teza, że praca jest możliwa wyłącznie w połączeniu z kapitałem, i wobec tego toczy się spór, czy lepiej jest, gdy posiadacz kapitału pracowników zatrudni, czy kupi. A tymczasem – orzekł ojciec założyciel kapitalistycznego raju – „Praca jest pierwotna wobec kapitału i niezależna od niego. Kapitał jest jedynie owocem pracy i nigdy nie mógłby istnieć, gdyby najpierw nie istniała praca. Praca jest nadrzędna wobec kapitału i zasługuje na znacznie więcej uwagi".

– Nie wiedziałam, że Lincoln był marksistą.

– Większość Amerykanów też tego nie wie.

– A już na pewno ich prezydent.

– I na koniec: niech żyje królowa! Tu wyjaśniam Czytelnikom, którym to umknęło, że Joanna Senyszyn została nagrodzona Koroną Równości w kategorii „Polityka", wygrywając z Katarzyną Kotulą i Magdaleną Biejat. Gratulacje.

– I podziękowania dla wszystkich, którzy na mnie zagłosowali w plebiscycie Kampanii Przeciw Homofobii, czyli KPH, czyli, co skądinąd w angielskim jest jednostką prędkości (km/godz).

– Jak mieli nie zagłosować? Wszyscy wiedzą, że jesteś królową.

– A nawet imperatorką.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

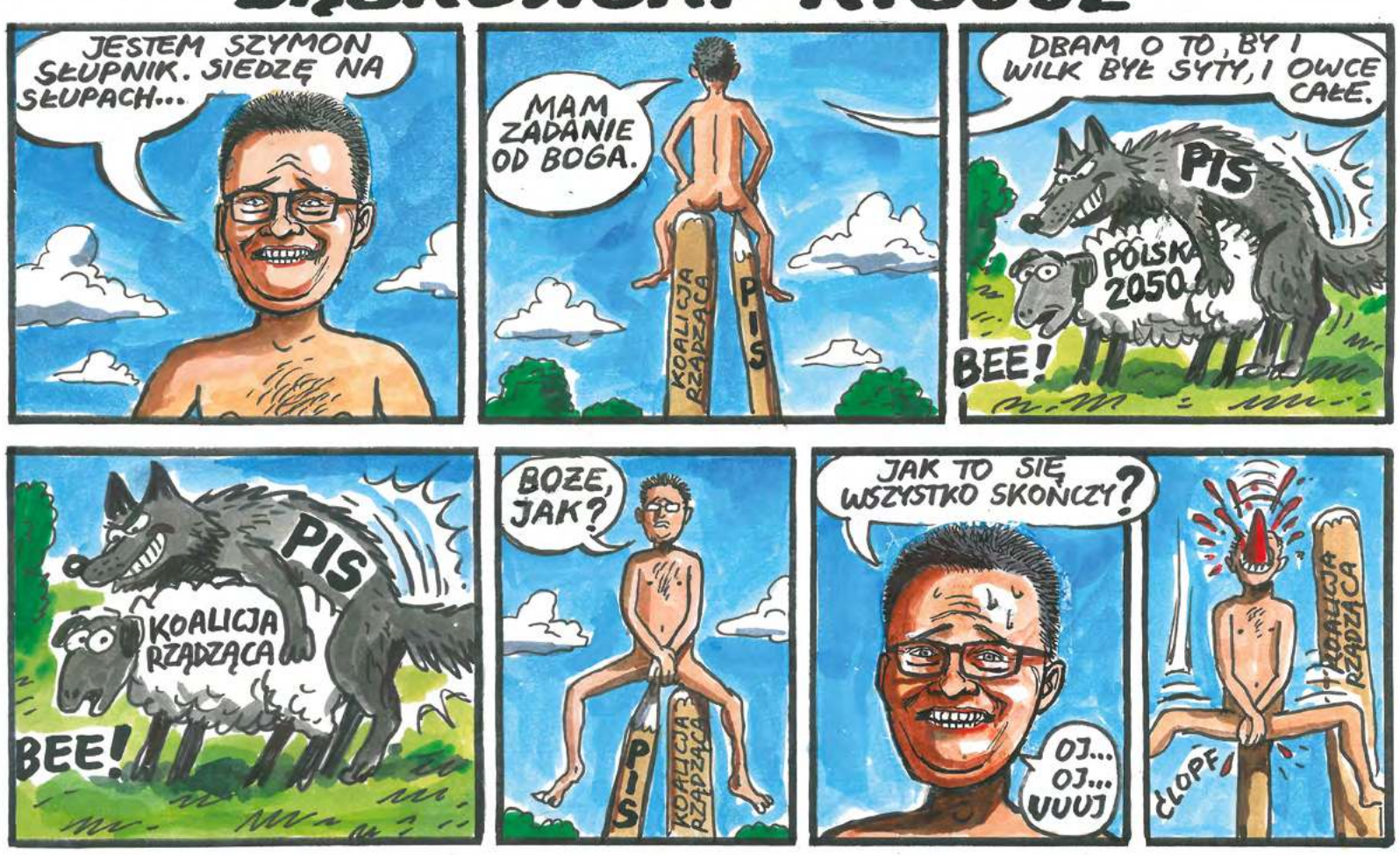

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 296a5b9c7c